

2040

325302

MONOGRAFJA WISŁY.

ZESZYT XI i XIV.

STANISŁAW KUTRZEBA.

ŻEGLARSTWO WIŚLANE

SEWERYN UDZIELA.

WISŁA W FOLKLORZE

Z CZĘŚCIOWEJ ZAPOMOGI WYDZIAŁU NAUKI
MINISTERSTWA WYZNAŃ RELIGIJNYCH I OŚWIECENIA PUBLICZNEGO.



WARSZAWA 1920.
NAKŁADEM POLSKIEGO TOWARZYSWA KRAJOZNAWCZEGO.
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNIACH M. ARCTA
WARSZAWA. — POZNAŃ. — WILNO. — LUBLIN. — ŁÓDŹ.

N. 1974/74

~~P. 95.~~
~~463~~



~~10765~~

inw. 8737

STANISŁAW KUTRZEBA.

ŻEGLARSTWO WIŚLANE

ZA CZASÓW RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ.

Płynęły Wisłą ku morzu z Polski rozliczne statki, które wiozły jej płody leśne, rolne, czy górnicze; płynęły, choć już mniej liczne, i pod wodę, z Gdańska, zagraniczne zabrawszy towary.

Jakież to były te statki? Jak się zwały, jaki był ich wygląd, jaka załoga, jaka siła nośna? To pytanie, na które tu chcę odpowiedzieć. Odpowiedzieć — po raz pierwszy w nauce, gdyż dotąd nikt tą sprawą się jeszcze nie zajmował. A i ta tu odpowiedź będzie bardzo niedostateczna. Z średniowiecznej epoki zgoła prawie nic nie wiemy o statkach, które pręły wody Wisły, poza nazwą tratw i dubasów ¹⁾. Dopiero epoka Zygmunta przynosi materiał obfitszy, wcale obfity, znacznie pełniejszy, niż ten, który dostarczają późniejsze wieki: XVII-sty i XVIII-sty. Dopiero dla tego stulecia można oznaczyć dokładniej rodzaje statków, których używano, określić ich charakter, podać wzajemne ustosunkowanie różnych ich rodzajów.

Wiadomości o statkach wiślanych z XVI stulecia czerpię głównie z licznych, wzorowo prowadzonych ksiąg cła wodnego, które pobierano od nich w Czersku, Warszawie, a zwłaszcza w Włocławku ²⁾. Późniejsze księgi celne, o ile się zachowały, głównie z XVIII wieku, już nie są tak dokładne. A nie było rzeczą dla mnie możliwą w obecnym czasie

¹⁾ Teodor Hirsch, Handels-und Gewerbsgeschichte Danzigs unter der Herrschaft des deutschen Ordens, Lipsk 1858, str. 172-173.

²⁾ St. Kutrzeba i Fr. Duda, Regestra theloniei aquatici Wladislaviensis saeculi XVI, Kraków 1915, zwł. wstęp str. XXXIV i in. Na materjale, podanym w tem wydawnictwie, opiera się w przeważnej mierze ta rozprawa.

8.45

3/7/39

21

sięgnąć do tej skarbnicy materiałów, którą dla historii naszej żeglugi na Wiśle tworzy olbrzymie archiwum gdańskie.

Trzeba było poprzestać więc narazie na tych źródłach, które w pełnej tylko, bardzo drobnej mierze, można było uzupełnić z wzmianek o statkach, u innych autorów pozbieranych ¹⁾.

I. Rodzaje statków.

Statki, po Wiśle płynące, podzielić należy na dwie grupy, które różnią się między sobą zasadą budowy. Jedną grupę tworzą statki, które nazywam łodziami; podstawę ich budowy tworzy większy lub mniejszy kadłub, wypierający wodę, w który składa się towar. Drugą grupą są tratwy; podstawą ich budowy płaskie połączenie desek, tak, iż towar leży na nich, ledwie występując ponad powierzchnię wody. Rzecz jasna, iż dwa te rodzaje statków nie mogą przewozić takich samych towarów; na tratwy ładować można tylko taki towar, któremu zamoczenie, tak łatwe, nie szkodzi, więc zwłaszcza drzewo, gdy towary, które muszą być chronione od zmoczenia, jak zwłaszcza zboże, nadają się tylko do przewozu łodziami.

Oczywiście każda z tych dwóch grup różne zawierała rodzaje statków. Przejsz je wypada po kolei.

Łodzie. Wśród łodzi, rozróżnić można łodzie duże i małe. Pierwsze, do których liczą się: szkuta, komiega i dubas, odbywały długie podróże; na nich to wywożono towary z głębi Polski do Gdańska. To były więc właściwe statki przewozowe. Małe łodzie, niewielkiej objętości, albo miały charakter pomocniczy, towarzysząc w długich podróżach — w niewielkiej liczbie — dużym łodziom, albo też — jako statki samoistne — służyły do komunikacji lokalnej. Do tych drobnych statków, które możnaby nazwać razem czółnami, należały: lichtany, baty i wogóle łódki.

Największym ze statków, używanych przy spławie wiślanym, była szkuta. Szkut używano też i na morzu do mniejszych podróży, zwłaszcza przybrzeżnych. Nazwa szkuty, obca, pierwotnie skandynawska, używana była w Polsce przynajmniej już w XVI stuleciu, aż ją znacznie później — może dopiero w XIX wieku — zastąpiono inną nazwą: berlinki, która poprzednią zgoła wyparła. Po łacinie szkuta zwała się „scapha”. Miała ona maszt i żagiel; mogła znieść znaczne obciążenie, bo aż do 40

¹⁾ Podają trochę wiadomości o statkach: Lindego Słownik języka polskiego, Wiktora Kozłowskiego Słownik leśny, bartny, bursztyniarski i oryński, Warszawa 1846 (ob. zwł. pod: statki i tratwa), i Adama Kleczkowskiego Rejestr budowy galeony, Kraków 1915 (w rozdz. VIII: terminy techniczne).

łasztów¹⁾, najczęściej jednak wynosiło ono koło 20 łasztów. Załogę szkuty stanowiło 16—20 ludzi, a pędzono ją 7—10 wiosłami.

Od szkuty nieco mniejszemi statkami były: komiegi i dubasy. Na komiegi ładowano koło 20 łasztów, ale mogła brać i więcej, do 30; wiosła miała zwyczajnie 7—9, załogę stanowiło 8—12 ludzi. Od komieg odróżniano komiaski, które brały tylko do 10 łasztów, oraz rzadko spotykane komiązeczki, na które ładowano najwyżej jeden łaszt. Formą charakterystyczną komiegi była jej czworoboczność.

Prawie tej wielkości, ale przecież nieco mniejsze od komieg, były dubasy, biorące do 20 łasztów. Załogę ich stanowiło 8—14 ludzi, wiosła zaś miały koło 8. Charakterystyczną cechą budowy ich było to, iż miały cał czyli tylni koniec pionowo ścięty. Jak wskazuje nazwa, którą należy wyprowadzać od ruskiego dub=dąb, były to statki z dębowego drzewa, przynajmniej pierwotnie, i z ruskich szły okolic. Rzeczywiście z regestrów cła wodnego wrocławskiego z XVI stulecia widać, iż dubasy głównie szły z ruskich województw, Bugiem i Sanem do Wisły, ale już wówczas coraz ich użycie rozpowszechniało się w całym obszarze Wisły. Błędnej domorosłej etymologii przypisać należy używanie niekiedy nazwy dūbasów.

Szkuty, komiegi i dubasy — to, jak mówiłem, statki, używane do długich podróży Wisłą, przewożące głównie zboże, a także inne ciężkie towary, które musiały być zabezpieczone od zamoczenia, jak popiół, smoła, śledzie, sukno i t. d. Te trzy rodzaje statków stanowiły dla siebie samoistne jednostki, zasadnicze; tylko dubasy niekiedy przyłączano w mniejszej liczbie do szkut lub komieg, widocznie ze względu na ich mniejsze wymiary, tak, że miały wtedy charakter jakby pomocniczych statków. Jedną ciekawą spostrzec można jednak różnicę między szkutami i dubasami z jednej, a komiegami z drugiej strony, przynajmniej o ile chodzi o wiek XVI. Oto szkut i dubasów używano prawie wyłącznie do wywozu zboża; tak w r. 1555 szkut ze zbożem przeszło przez komorę wrocławską 407, w r. 1556 — 472, w r. 1557 — 259, w r. 1558 — 222 i t. d., gdy szkut z innym towarem w tychże latach ledwie 5, 1, 6, wzgl. 3 i t. d. Podobnie w tychże latach dubasów z zbożem przejechało 306, 317, 171, 118 i t. d., gdy innym towarem obciążonych było ledwie 2, 0, 5, 3 i t. d. W r. 1574, w którym liczba dubasów ze zbożem wyniosła aż 456, napełnionych innym towarem doliczono się ledwie 3.

Zgoła inaczej przedstawia się ta sprawa przy komiegach. Tak w r. 1555 było 98 komieg z różnym towarem na 730 wyłącznie zbożowych, w r. 1556 — 43 na 716, w r. 1557 — 121 na 608, w r. 1558 — 82 na 111

¹⁾ Tak wynika z obliczeń według regestrów celnych wrocławskich z XVI stulecia; Kozłowski i Kleczkowski podają, że szkuta brała do 54 łasztów.

i t. d. Szkutry i dubasy więc — to par excellence statki zbożowe, na które wyjątkowo ładowano inne płody, z Polski wywożone.

Z małych łódek, zwanych po łacinie „naves“ lub „navicula“, miały specjalne nazwy dwa gatunki: lichtany i baty. Lichtan — to łódź niewielka, biorąca tylko kilka łasztów, koło trzech; mniejsze zwano lichtanikami. Może po łacinie „cimbae“ je nazywano. Lichtany wyjątkowo odbywały długie podróże Wisłą jako samoistnie wysyłane statki. Ich zadaniem była w zasadzie służba pomocnicza dla szkut, komieg i dubasów, z którymi razem płynęły, ale w niewielkiej ilości. Tych lichtanów używano do ładowania, a i przeładowywania ciężarów, gdy duży statek utknął np. na mieliźnie; takie przeładowywanie przy pomocy lichtanu zwano też lichtowaniem. Żaglowemi łodziami były baty; małe baty bacikami zwano (po łacinie może: „carbanes“ lub „carbasae“ od carbasa = żagiel). Używano ich na Wiśle, gdy niewielkie miało się przebywać przestrzenie, głównie dla komunikacji ludzi, których 2 — 12 brać mogły. Ładować można było na bat 8 do 12 łasztów.

Tratwy. Płaskie statki zwano trawami, później trawami, albo taflami ¹⁾; po łacinie określano je jako „strues“ lub „struges“. Na oznaczenie niewielkich rozmiarów używano zdrobniałych form: trafetek lub taflek, a także i specjalnej nazwy: płyty. Do dziś one pływają po Wiśle, i tak, jak w XV stuleciu, kiedy z nimi po raz pierwszy w źródłach się spotykamy, do dziś służą do wywozu zwłaszcza drzewa, które na nie nakładano, rzadziej innego towaru. Nie da się ustalić ilości wioseł, jakich do nich używano; tratwa składała się z 8 gasek — czy wąsików ²⁾, każda gaska z 4 bali ³⁾, a na wąsik szły po 2 wiosła.

Do tej kategorii tratw należały też rzadko pojawiające się gleny ⁴⁾.

Odróżniały się te statki wiślane od innych tem, że tylko w dół rzeki płynęły, nigdy w górę, gdyż sprzedawano je na drzewo po dobieciu do celu podróży, a piechotą wracali ci, których przywiozły. Ale i znaczną część łodzi na drzewo w Gdańsku przedawano.

II. Statystyka statków wiślanych.

Ile statków spływało Wisłą w dół rzeki? Na to odpowiedź dają nam dla XVI stulecia wyłącznie te nieocenione księgi cła wodnego, o których wyżej mówiłem, pozwalające liczyć statki, które przepływały

¹⁾ Po niemiecku w XV w. zwano je „Driften“, ob. Hirsch o. c.

²⁾ Tę nazwę raz się spotyka w XVI stuleciu.

³⁾ Kozłowski o. c. pisze, że z 4 tafli.

⁴⁾ Kozłowski o. c. podaje, że glenem nazywano dwie razem złączone pleńnice. U niego pod: tratwa ob. dokładny opis tratwy i jej części składowych.

przez komorę w Włocławku, więc prawie na granicy Korony i Prus Królewskich. Rozpoczynają się one już w czasach Zygmunta I, ale najstarsze z tych, które się zachowały, pochodzące z lat 1537, 1544 i 1547, jeszcze nie przy wszystkich pozycjach dokładnie podają, ile było statków i jakiego rodzaju. Dlatego obliczenia bezpieczniej oprzeć na cyfrach z późniejszych nieco ksiąg zaczerpniętych, w których już takich luk albo wcale niema ¹⁾, albo są minimalne ²⁾.

Przeszło więc przez komorę włocławską:

	szkut	komiegi i komiaszek	dubasów i dubasków	Razem
w r. 1555	412	858	399	1.669
„ 1556	473	763	390	1.626
„ 1557	265	730	203	1.198
„ 1558	225	194	128	547
„ 1560	491	173	265	929
„ 1561	475	461	296	1.232
„ 1567	513	551	491	1.555
„ 1569	300	157	310	767
„ 1573	332	197	477	1.006
„ 1574	417	286	644	1.347
„ 1576	313	227	446	986

Ogólna cyfra tych dużych łodzi, przepływających przez Włocławek, oczywiście była bardzo zmienna z roku na rok, zależnie od urodzaju, a więc od większej lub mniejszej ilości zboża, które wywieźć było można. Wśród trzech rodzajów statków, używanych na Wiśle, przeważały w połowie XVI wieku komiegi, na które przypada nieraz więcej, niż połowa z ogólnej cyfry łodzi. Następnie jednak używanie ich słabnie, cyfra spada do $\frac{1}{3}$, $\frac{1}{4}$, nawet—wyjątkowo jednak— $\frac{1}{5}$ ogólnej liczby. Równocześnie wzrosło używanie szkut, na które początkowo przypadało koło $\frac{1}{4}$, później koło $\frac{1}{3}$, a nawet wyjątkowo koło połowy, a jeszcze silniej używanie dubasów, których liczba z $\frac{1}{4}$ podniosła się aż do połowy i wyżej z ogólnej liczby łodzi. Trzeba się liczyć z tem, iż nie brak pewnych wahań w tym rozwoju, jak również, iż okres ćwierćwiecza, z którego pochodzą cyfry, jest za krótki, by móc wydać sąd pewny o tem wypieraniu komiegi przez skutki, a zwłaszcza przez dubasy.

W stosunku do liczby dużych łodzi oczywiście bardzo drobna tylko mogła być liczba łódek pomocniczych, głównie lichtanów. W stosunku

¹⁾ W latach 1557, 1558, 1560, 1561 i 1574.

²⁾ W latach 1555, 1556 i 1573 brak takiego określenia przy 1 pozycji, w r. 1569 przy 2, w r. 1567 przy 5.

do ogólnej cyfry szkut, komieg i dubasów przypada ich w wykazach celnych wrocławskich ledwie 2 — 4%, wyjątkowo 5% lub nieco powyżej. Cyfry innych łódek, które miały znaczenie dla lokalnej komunikacji, zgoła znikome są w księgach celnych.

Bez porównania mniejsze cyfry przypadają na drugą kategorię statków przewozowych, t. j. tratwy czyli tafle. Przepłynęło ich przez Wrocław w dół Wisły, razem z nielicznymi płtami i tafelkami:

w r. 1555	223	w r. 1567	103
" 1556	65	" 1569	186
" 1557	245	" 1573	175
" 1558	124	" 1574	123
" 1560	299	" 1576	139
" 1561	269		

I przy tratwach wahania duże; w okresie, oświetlonym przez księgi, liczba tratw znacznie się zmniejszyła.

Jak już nadmieniałem, dla wieku XVII i XVIII brak tego rodzaju materiału, pozwalającego ująć cyfrowo liczbę łodzi i tratw, które Wisłą zdążyły do Gdańska. Jeśli się zwróci uwagę na to, iż eksport zboża z Polski za Zygmunta III i Władysława był prawie dziesięćkrotnie większy, niż za dwóch ostatnich Jagiellonów, toć oczywiście i liczba łodzi, które w dół rzeki szły, musiała być również kilkakrotnie większa. I znowu mniejszą być musiała od połowy XVII wieku, gdy wywóz zboża bardzo osłabł w stosunku do poprzedniego. Bez wątpienia znajdzie się materiał po rozjaśnieniu tej kwestji w archiwum miasta Gdańska. Że jednak w niem poszukiwań podjąć obecnie nie mogłem, ograniczyć się musiałem na podaniu tych fragmentarycznych tylko wiadomości, oświetlających ruch wiślany chociaż w tem jednym XVI stuleciu.

III. Spław.

Pospolicie flisami nazywa się tych, którzy trudnią się spławem statków wiślanych; nazwą flisa opatrzył swój poemat o żegludze wiślanej Klonowicz. Rzadziej używana jest nazwa orylów, zdaje się pierwotna polska, zastąpiona później, już w XVI wieku, przez nazwę flisów, z niemieckiego wziętą, zaś wyłącznie lokalną, krakowską, jest nazwa włózków. Wśród flisów jednak rozróżniano pewne kategorie, a tej nazwy w ściślejszem słowa znaczeniu używano na określenie najliczniejszej części załogi statków, która nie miała specjalnych funkcji; takie określone zadania wyższego rzędu należały do szyprów i sterników.

Do szypra należał cały gospodarczy kierunek przy spławie towaru.

On to — według Anzelma Gostomskiego ¹⁾ — obowiązany był wiedzieć, jakie zapasy zboża znajdują się w śpichlerzach, z których następnie ładowano je na statki. On powinien był znać siłę nośną statków, wiedzieć więc, ile można naładować na nie, on mierzył ładowane zboże. Do szypra należało też prowadzenie rejestru wiezionego zboża; w razie gdyby nie płynął sam dalej, powinien był rejestr, podpisawszy go, oddać swojemu następcy. Do szypra należało zakupywanie wszystkich przedmiotów, które były na statku potrzebne, jak i prowadzenie rejestru wydatków na flisów.

Jakie były zajęcia sterników, wskazuje już sama nazwa: oni prowadzili ster. Z pośród sterników jeden był używany jako starszy sternik. Zwano go też gospodarzem statku; on miał pod swoim kluczem wszelkie przybory, potrzebne do żeglugi, więc żagle, kotwy (kotwice), pojazdy (wiosła), tarcice do oszywania statku, pobiegi (tarcice przy burcie przybite), laski (do holowania w górę rzeki), szufle i powrozy, jak również sprzęty kuchenne. Sterników rzeczą było starać się o flisów.

Flisacy rekrutowali się z ludności włościańskiej; niezawsze używano własnych włościan, lecz godzono na flisów i obcych poddanych. Do tej klasy włościańskiej należeli też i krakowscy włóczkowie, będący poddanymi z dóbr Norbertanek krakowskich i królewskich. Zawód flisów sprawiał, iż korzystali oni faktycznie z większej swobody osobistej, niż inni włościanie. Włóczkowie krakowscy potrafili się nawet zorganizować na wzór miejskich cechów, cech ich spełniał jednak prawie wyłącznie funkcje religijnego bractwa; stało się to zresztą dopiero w XVII wieku, kiedy w r. 1633 otrzymali włóczkowie pierwszy przywilej od króla Władysława IV, następnie potwierdzany przez późniejszych władców Polski.

Dwie były pory, kiedy głównie statki Wisłą ruszały w dół rzeki, czyli spusty, jak mówiono w XVI wieku: wiosenny i jesienny. Głównym był pierwszy spust, wiosenny, z niemiecka nazywany także gdzieindziej przynajmniej w XVIII wieku — „fryorem“ ²⁾. Zawczasu w zimie przygotowywano wszystko do spustu, a więc tak statki, jak towary i wszelkie potrzeby dla statków, żywność i ludzi. Statków, wyczyszczonych po powrocie z Gdańska przez flisów, ustawionych na łożach na dobrym miejscu na wodzie „w ciszy“, uwiązanych rufami (tylną częścią statku) lub sztabami (przednią częścią statku). doglądał przez zimę jeden z flisów, pilnując, by burta nie leżała na ziemi, ani się „lodu bała“.

¹⁾ Gospodarstwo, 1588, str. 88 — 94; głównie według tego dzieła przedstawione są zajęcia flisaków.

²⁾ Stefan Pawlik, Polskie instruktarze ekonomiczne, Kraków 1915, w indeksie i słowniczku pod: fryor.

Co dwa lata należało je namazać smołą. Sternik zadatkował flisów, szyper spisywał ich w registr, kupował, czego na statku brakowało, pilnował, by przygotowano maty w odpowiedniej liczbie i wielkości, wszczepił dwa razy tak wielkie, jak słoma, wzdłuż na łokieć. Przygotowywano suchy struż (dla palenia ognia?), który układano „w kozieł“, bądź w miejscu zamkniętem, bądź w sadzie. Jak w XVI wieku dobry gospodarz Gostomski, tak w XVIII wieku instruktarze dla folwarków doradzały śpieszyć się na wiosnę, by z pierwszą wodą mogły statki odpłynąć, bo wtedy najlepsze ceny dostawało się w Gdańsku.

Gdy już można było wyruszyć, ładowano towar na statki; należało to do obowiązków flisów. Zboże ładowano w workach, znaczonych znakami; jagły, kaszę, żywność, radził Gostomski ładować w beczkach. Przy ładowaniu zboża (lichtowaniu) podkładano zwyczajnie żagle, by zboże się nie rozsypywało, lecz przez to żagle bardzo się niszczyły. Gostomski doradzał, by flisowie ładowali boso, bo zbożu buty i kurpie szkodzą.

W majątkach, które dalej leżały od Wisły i jej spławnych dopływów, zimą, gdy była sanna, a więc lepsza droga, dowożono podwodami, dostarczającymi przez włościan, towar nad brzeg rzeki, do śpichlerzy.

Z pierwszą wodą ruszały statki. Księgi włocławskiego cła wodnego z XVI wieku pozwalają nam stwierdzić, kiedy rozpoczynała się żegluga po spłynięciu lodów z Wisły. Wyjątkowo się zdarzało, by już w połowie marca przepływały statki przez Włocławek, jak 12 marca w r. 1556, lub 14 marca w r. 1573; początek spustu w Włocławku zwyczajnie rozpoczynał się między końcem marca a połową kwietnia. Wyjątkowo tylko zdarzało się, iż rozpoczęcie żeglugi (fluitatio) opóźniało się aż do końca kwietnia; tak pierwsze statki przeszły w r. 1575 dnia 14, a w r. 1557 nawet dopiero 27 kwietnia ¹⁾.

Na miesiące od marca do czerwca przypadała największa ilość statków, które płynęły do Gdańska; był to główny okres spustu. Już w czerwcu zmniejszała się ilość płynących statków, spadała do minimum w czasie letnich miesięcy, gdy starano się oczywiście wywieźć, co można było, przed okresem robót w polu, zwłaszcza przy żniwie, oraz niskiego stanu wody na Wiśle. Dopiero w jesieni znowu wzrastał się ruch, gdy można było już wywozić zboże z nowego zbioru; raz, w r. 1572, wyraźnie zaznacza księga celna włocławska pod datą 31 sierpnia, iż przewieziono już „nowe żyto“ (nova siligo). Ilość statków we wrześniu i w październiku nie wyrównywała ani w części tej, która przypadała na miesiące wiosenne.

¹⁾ Według rejestru thelonei daty, podawane według kalendarza juljańskiego, przemieniłem na gregorjańską rachubę.

Kończyła się żegluga wyjątkowo w pierwszej połowie listopada jak w r. 1561, kiedy ostatni statek w dół przepłynął przez Włocławek 3 listopada, w r. 1568, kiedy się zakończył spław 5 listopada i t. d. Przeważnie zamknięcie żeglugi przypadało na drugą połowę listopada; najpóźniejszy termin, znany z ksiąg włocławskich, przypada — w r. 1569 — na 27 listopada. Kończyło żeglugę zamarznięcie Wisły, przyczem nieraz lody statki zatrzymywały; tak księga z r. 1572 zanotowała pod datą 16 listopada, iż „zamarz statek“, a inne już nie nadeszły z powodu lodu. Nie zawsze jednak widać data ustania żeglugi w dół rzeki zupełnie ją zamykała, zdarzało się, iż jeszcze później szły statki przez Włocławek, ale w górę rzeki.

Gostomski przestrzegał przed tem, by dość wcześnie rozpoczynano spust jesienny, bo statki mogą zamarznąć. Ale folwarki młóciły głównie swoje zboże dopiero w zimie, gdy miały dość dni pańszczyźnianych do rozporządzenia; by wskutek opóźnienia nie stracić spławu jesiennego, postępowano w ten sposób, iż pożyczano w jesieni zboża od włościan, którzy wcześniej je młócili, i wysyłano do Gdańska, a później im ziarno zwracano z folwarku ¹⁾.

¹⁾ Według Gostomskiego.



SEWERYN UDZIELA.

WISŁA W FOLKLORZE.

W całym biegu swoim, od źródeł aż do ujścia, rzeka polska — Wisła, ukochana rzeka nasza, niesie na falach swoich z pokolenia w pokolenie myśli nasze, sny i marzenia. Brzegi Wisły zaludniały się powoli i niejednostajnie. Najpierw zamieszkała ludność nad brzegami dolnej i górnej Wisły, a obszary, leżące po obydwu stronach Wisły środkowej, jeszcze przez długie wieki zarastały nieprzebyte bory. Dopiero w XIII i XIV wieku zarośla się ludność w licznych osadach wzdłuż całej Wisły. Dziś zwartą masą siedzi lud polski nad Wisłą od Karpat aż po Bałtyk. I tak u źródeł osiedli górale, niżej w Księstwie Cieszyńskim Wałasi, potem Krakowiacy i Skalmierzanie, za nimi Lasowiaczy czyli Sandomierzanie, Mazury, Kujawiacy i Kaszubi nad morzem — siedzą te wszystkie ludy nad Wisłą, niby na srebrnej nitce nawleczone różnobarwne paciorki.

Siedząc od wieków nad tą rzeką, przeglądając się w jej nurtach, śledząc działalność, zmienność, kaprysy jej fal, żyjąc z jej wód jako rybacy, młynarze, flisacy, osnuli ją całą siecią baśni, podań i legend.

Ponieważ jednak oświata, szerząca się dzisiaj z nieznównaną szybkością między ludem naszym, podkopuje wiarę w te opowiadania, przeto nie są one już tak przechowywane w tradycji i podawane z ust do ust, jak dawniej i z tego powodu zaciera się coraz bardziej w pamięci ludu, albo tracą najciekawsze cechy odległej, dawnej treści. Wszelako dzisiaj jeszcze dosyć dużo przechowała nam tradycja z tej poezji, filozofji i wiedzy ludowej o Wiśle i cały ten materiał będziemy się starali rozwinąć przed łaskawym Czytelnikiem.

Bogi wiślane.

Szemrzący i pluskający po kamieniach potok, szumiąca poważnie wielka rzeka, woda, wydająca niekiedy na odmetach i wirach jakieś stłumione westchnienia, łkania lub jęki, niezbadana, pełna tajemnic zielona toń — potęga i siła huczącego strumienia, toczącego po dnie swoim skały i wyrrywającego z korzeniami stuletnie drzewa, rosnące nad brzegiem — wreszcie ten wieczny ruch wody, częsta zmiana jej powierzchni, zastanawiały po wszystkie wieki człowieka, a ludom stojącym na niskim stopniu kultury nasuwały myśl o jakiejś istocie tajemniczej a potężnej, która rozkazuje wodzie, rządzi nią, panuje nad nią.

U naszego ludu nadwiślańskiego takim panem wód jest topielec, toplec, utopiec.

Już u źródeł, we wsi Wiśle, opowiadają o utopcu, a w miarę jak Wisła rośnie, potężnieje, opowiadania są coraz liczniejsze, rozmaitsze, — charakteryzują dokładnie topielca, opisują jego siedzibę i jego sposób życia.

Topielca wyobraża sobie lud nadwiślański jako człowieka wzrostu małego, wielkości chłopca trzech — do siedmioletniego. Głowę ma zwykle dużą, na niej wielkie włosy czarne, rozczochrane, ręce i nogi cienkie a długie. Ciało ma barwy czarnej, rzadko białej. Chodzi nago a woda ciecze po nim, tylko na głowie ma czapkę lub chusteczkę czerwona. Czasem znowu ukazuje się jako chłop wielki, nagi, z bardzo długim włosiem czarnym i z długą czarną brodą, to znowu jako chłop z głową rozczochraną, dużą. Jeżeli idzie między ludzi, wtedy ubiera się tak, jak zwyczajny chłop z nad Wisły, tylko woda ciecze mu z lewego rogu górniczy (plóciennicy), albo ma górnicę zamoczoną do połowy w wodzie, a niekiedy nawet cała górnicza na nim mokra. Czasem nie spostrzega się i tego, a wtedy z wejrzenia nie można odróżnić topielca od pierwszego lepszego wieśniaka.

Topielec ma na dnie głębokiej wody wspaniały pałac kryształowy, ozdobiony perłami i brylantami. Wszystko to mieni się kolorami tęczy. Pokoje są złote, a sprzęty także kosztowne, kryształowe, bogato zdobione. Nawet śmieci w pokojach są złote. Drzwi do pałacu znajdują się zaraz pod powierzchnią wody, tak że gdy woda rozstępuje się, naprzekład pod naciskiem wpadającego w nią człowieka, to równocześnie otwierają się drzwi do pałacu topielca.

O pochodzeniu topielca opowiadają, że gdy Pan Bóg na początku świata strącił z nieba do piekieł złych aniołów, którzy pod wodzą Lucypera podnieśli rokosz przeciw Stwórcy swemu, nie wszyscy oni potrafili w przeciągu czterdziestu dni i czterdziestu nocy dolecieć do piekła.

Ci źli aniołowie, którzy wpadli w wodę, dotąd rozpościerają w niej swą władzę, topiąc ludzi i dlatego nazywają się topielcami.

Topielec może zmieniać postać swoją według upodobania. Pokazuje się ludziom jako chłopiec, chłop, pan czarno ubrany, staruszek, to znowu jako królik, pies, baran, świnia, jako gęś, ryba, rak, a nawet jako worek leżący nad wodą przy drodze. Czyni to wszystko dlatego, aby nie być poznany, aby w zmienionej postaci łatwiej sprowadzić człowieka do wody i utopić. Skoro się zdradzi, czem jest, wtenczas zawsze klaszcze w ręce i śmieje się. Jest bardzo silny w wodzie, toteż bywały rzadkie wypadki, aby go kto zmógł w tem jego państwie i wyrwał się z rąk jego. Topielec zabija nawet siłą wzroku, dlatego nie można patrzeć bystro w jego oczy.

Podczas jasnej a ciepłej nocy księżycowej wychodzi na brzeg rzeki i przesusza się do miesiączka, iska się, albo szyje sobie buty. Gdy chmury przesłaniają księżyc, albo gdy kto przeszkodzi dumaniom jego lub zajęciom, wtedy zwraca się do księżycy z wyrzutem, posądzając go o nieprzychylność jego dla siebie, o nieprzyjaźń. We dnie bawi się nieraz na wodzie, skacząc, pływając, śmiejąc się i klaszcząc w ręce.

Wszystkie rysy charakteru jego w stosunku do człowieka są ujemne. Jest złośliwy, rozrzucając siano i słomę z kop, stojących nad brzegiem rzeki — podstępem i przebiegłością stara się wciągnąć człowieka do wody i utopić. Doradza ludziom, którzy mają przechodzić przez wodę i narzuca się na przewodnika, a gdy mu się kto odda w opiekę, tego zawsze utopi. Za doznane krzywdy mści się.

Boi się świętości, jak każdy zły duch, boi się też bardzo żelaza, którem mógłby być skaleczony, a boi się tak bardzo, że na widok nożyka, wiszącego chłopu u pasa, nawet w wodzie nie ma odwagi rzucić się na człowieka. Boi się zaś dlatego, bo skaleczonego żelazem, chociażby igłą nawet, jeżeli z rany krew się pokazała, nie przyjmuje woda tak długo, dopóki nie zagoi się rana.

Topielec nie pędzi samotnego żywota, ale w pałacu swoim pod wodą ma rodzinę żonę i dzieci. Przy narodzinach dzieci potrzebuje pomocy ludzkiej, więc do chorej żony sprowadza akuszerkę ze świata i wynagradza ją dobrze. Za kumów prosi także ludzi. Dzieci topielca rodzą się pół białe, pół czarne, wychowują się pod wodą, ale czasem wychodzą na brzeg same lub z rodzicami. U siebie prowadzi topielec gospodarstwo domowe, chodzi do miasta po wiktuały, potrzebuje sługi do zamiatania pomieszkania, szyje sobie i rodzinie buty, a buty tak trwałe, że się nigdy nie zdzierają. Od ludzi nie chce przyjmować pożywienia, sam jednak zachodzi nocą do młyna i zjada tam wszystko, co tylko znajdzie podatnego do jedzenia.

Władza topielca rozpościera się nad wodą i nad tem wszystkiem, co się w wodzie znajduje i co wejdzie do wody. Gdy wchodzi do rzeki,

albo wprowadza tam człowieka, woda rozstępuje się, stosując się do jego myśli. Czasem zakreśla ręką nad nią jakieś znaki, a czasem uderza w wodę pręcikiem złotym, aby rozdzielić wody i utworzyć przejście suche. Z wody buduje pałace, które zamieszkuje i gdzie przechowuje dusze ludzi utopionych w garnkach, przykrytych szczelnie pokrywami i pilnuje ich. Za zdjęciem pokrywki wylatują z garnka dusze w postaci gołąbków. Koło pierwszej godziny w nocy ustaje władza topielca i nie może już topić. Traci także władzę wtedy, gdy jest okrwawiony.

Jak już poprzednio wspomnieliśmy, używa topielec różnych sztuczek, podstępu, aby wprowadzić człowieka do wody. Tu dopiero rzuca się na niego, chwytając najczęściej za słabiznę i topi.. Niekiedy ciągnie ludzi za nogi, gdy je spuszcza do wody, myjąc się albo płynąc łodzią, skacze człowiekowi na plecy, a nawet ciągnie go do wody za głowę. Topi nie tylko ludzi, ale także zwierzęta domowe, krowy i konie, porywa gęsi i kaczki, pływające po wodzie. A topi zawsze w pobliżu swego mieszkania. Jest niebezpieczny dla człowieka, jest postrachem dla mieszkańców osiedlonych nad Wisłą i dla wszystkich kąpiących się lub przepływających się przez rzekę. To też bywały wypadki, że ludzie, pragnąc go wypędzić z okolicy, urządzali na topielca łowy. Jeżeli nie znali dokładnie miejsca jego mieszkania, w takim razie puszczały na wodę cebrzyk, w którym ustawiono krzyż z Panem Jezusem i gromnicą zapaloną. Taki cebrzyk, przy płynąwszy nad mieszkanie topielca, zatrzymuje się w miejscu i nie płynie już dalej, ale kręci się wkoło. Skoro się znalazł śmiałek, idzie z towarzyszami na miejsce, gdzie topielec przebywa i zaopatruje się w świętości, przed którymi topielec ucieka. Więc wkłada na szyję skaplerz i różaniec, bierze wodę święconą i dzwonek, jeżeli można, stary, naprawiany, aby nim zadzwonić, kiedy przyjdzie pora wyciągnąć topielca z wody — potem opasuje się powrozem, a lepiej jeszcze łańcuchem żelaznym, którego drugi koniec trzymają chłopci silni, stojący na brzegu i spuszcza się do głębiny. Gdy topielca uchwyci, daje znak, a ludzie, trzymający łańcuch, wyciągają go razem z topielcem. Wtenczas można robić z topielcem, co się tylko żywnie podobą, a on będzie prosił, aby go puścić i przyrzeknie, że się wyniesie w inne strony.

Przed topielcem trzeba się mieć na baczności. Gdy się mamy kąpać, przechodzić w bród lub przejeżdżać przez wodę, trzeba naprzód zamaczać palce w tej wodzie i przeżegnać się. Rozbierając się do kąpieli nie trzeba z siebie zdejmować rzeczy poświęconych: skaplerza, medaliaków, krzyżyków, pierścionka ślubnego. Dobrze jest nosić ze sobą nóż, igłę lub inne narzędzia żelazne, a przepływając się przez wodę, trzymać je na wierzchu, aby topielec mógł je widzieć. Radzą też, aby przejeżdżając przez rzekę, zwłaszcza gdy się w nocy jedzie, przeżegnać się i powiedzieć do topielca, albo przynajmniej pomyśleć sobie:

Niech cię Pan Jezus przeżegna
I do piekła wegna.

Ratując się przed topielcem, nie trzeba wyciągać rąk ku przodowi, ale rozkładać je w bok, a skoro się topielec rzuca na człowieka, to ten powinien starać się chwycić go za prawą rękę, gdyż w ten sposób ubezwładni topielca, który w lewej ręce nie ma żadnej siły. Dobrze jest zarzucić na niego skaplerz, różaniec, lub coś innego poświęcanego, albo włożyć mu na palec u prawej ręki pierścioneńkę ślubną. Ubezwładni się także topielca, gdy się go do krwi skaleczy.

Gdy się ratuje tonącego, trzeba go chwycić i ciągnąć z wody za włosy, a wyratuje się go najpewniej.

Podania i legendy.

Z Wisłą splótł lud nasz odwieczne podania i legendy rozsiane bogato wzdłuż całego jej biegu, od źródeł poczynawszy. Już na Baraniej górze pod skałą „Czerwony Usyp“ nieprzeliczone zbójceńskie skarby są ukryte, a u źródeł Wisły w Czarńtorji czeka uśpione wojsko z królem Łokietkiem na czele, aby wyjść i oczyścić Polskę z wroga; a wyjdzie to wojsko wtedy, aż kruki latać przestaną.

Pluszcząc po kamieniach, płynie dalej Wisłoka po Śląskiej ziemi koło miasteczka Skoczowa, które zawdzięcza swą nazwę tej okolicy, iż dwaj bracia sprzeczali się ze sobą, o prawo założenia miasta, wreszcie umówili się, że ten miasto założy, który w tem miejscu przeskoczy Wiślę. Przeskoczył ją młodszy, on też założył miasto i nazwał je Skoczowem.

Jeszcze inne podanie łączy się z początkiem tego miasteczka.

Niedaleko Skoczowa wpada do Wisły rzeczka zwana Błotnica, nad brzegami której znajduje się dolina „Djabelski młyn“. W miejscu tem, jak niesie podanie, znajdowało się duże miasto. Dnia jednego wśród bardzo ciężkiej zimy przybyła do miasta tego stara kobieta z jajami na sprzedaż, aby za uzyskane pieniądze kupić sobie innej żywności. Chodziła od domu do domu, a nikt nie chciał jaj kupić. Zmęczona poszła do studni miejskiej, aby się napić wody, ale naokoło studni była taka gołoleź, że stara kobieta poślizgnęła się i upadła na lód, tłukąc wszystkie jaja. Rozżalona straszliwie tym wypadkiem, przeklęła miasto, wołając: „Bodajby to miasto, w którym są ludzie bez serca, zapadło się w ziemię“. I w istocie miasto runęło w gruzy i zapadło się w ziemię. Przypadkowym sposobem tylko nieobecni w mieście mieszkańcy uszli niechybnej śmierci i na miejscu, gdzie dzisiaj wznosi się miasto, założyli nową siedzibę, a że nowe miasto jest tylko o skok oddalone od starego, nazwano je Skoczowem. Wedle innego podania w tem miejscu na Wiśle był

długi most i z niego to księżniczka cieszyńska Wanda, nie chcąc iść zamąż za narzuconego jej księcia niemieckiego, skoczyła do Wisły i stąd też ma pochodzić nazwa miasta.

Wisła rwie się dalej, wzbiera, nikt już jej nie przeskoczy, a niedaleko Krakowa zaczyna być splawną rzeką.

Flisacy z Czernichowa mieli zwyczaj przed wyruszeniem na flis obierać sobie świętego za patrona w podróży, spisywali imiona różnych świętych na kartkach, które wrzucali do skrzynki, a następnie wyciągali kartki z nazwiskiem świętego, któremu flis przez całą drogę oddawał się w opiekę i modlił się do niego, prosząc o podróż szczęśliwą. Otóż zdarzyło się, że jeden młody flisak wyciągnął kartkę z imieniem świętego Macieja, ale że mu się ten święty jakoś nie podobał, wyciągnął kartkę drugi, a następnie trzeci raz, zawsze z imieniem tego świętego. Gdzieś pod Sandomierzem wypadła deska na dnie galara, i pomimo ratunku zatykania otworu, czerpania wody przez kilku flisów galar szedł na dno, a ów flis młody zaczął też tonąć. Dopiero w niebezpieczeństwie zwrócił się z prośbą o ratunek do świętego Macieja, który też zjawił się jako ksiądz w ornacie, chwycił flisaka za czuprynę, wytrząsł mu dobrze głowę do trzeciego razu i na brzeg wyrzucił.

Ale oto Kraków, około którego osnuły się najstarsze nasze podania. Tutaj przed wiekami osiadł Krakus, zbudował na wzgórzu wawelskiem zamek, a obok miasto i byłoby wszystko dobrze, ale u stóp Wawelu w jaskini nad Wisłą pojawił się smok straszliwy, który pożerał bydło i ludźmi też nie gardził. Jednakże Krakus odważny zabił smoka. Po śmierci pochował naród Krakusa na wzgórzu nad Wisłą i usypał mu na grobie wysoką mogiłę, znosząc ziemię rękami i w rękawach, stąd też na pamiątkę tego pogrzebu obchodzi ludność w pobliżu mogiły Krakusa na wiosnę w drugi dzień po Wielkiej Nocy „rękawkę“, zabawę wiosenną, na której rozdawano ubogim jaja i chleb a młodzież bawiła się, tańcząc, biegając do mety, huśtając się i wspinając się na wysokie żerdzie.

Podobną uroczystość ludową obchodzą do dnia dzisiejszego Gdańszczanie, jako uroczystość Świętojańską, a więc sobótki.

W dniu 22. lub 23. czerwca według starego zwyczaju odbywa się często ludowa uroczystość na łące w Jöschkenthal pod Gdańskiem. Przy dźwiękach kapeli wyrusza mnóstwo rodzin z Gdańska, czasem 20 do 30 tysięcy osób na ową łąkę. Już od wczesnego ranka zapełniły są siedni las wędrownie szynki, karuzele, panorama i rozsiadły się na miejscach wynajętych poprzednio od Magistratu. Na wierzchołku wysokiego masztu wiszą różne podarunki dla tego, kto wspina się na szczyt słupa i zdejmie je sobie. Najpierwszą nagrodą bywa srebrny zegarek kieszonkowy. Ale walka o te nagrody nie bywa łatwą, bo słup od dołu do szczytu

jest pomydlony i bardzo gładki. Zabawę urozmaica bieganie w workach do mety, huśtawki, tańce na wolnem powietrzu. Zupełnie wszystko to samo, co w Krakowie na Rękawce. Wieczorem kończą zabawę piękne ognie sztuczne.

Naprzeciw ojca po drugiej stronie Wisły leży ukochana Wanda, która utopiła się w Wiśle, aby nie być powodem walki, niszczącej kraj, między współzawodnikami o swoją rękę. Na jej grobie usypał lud także wysoką mogiłę.

Tutaj z nad Wisły ze Zwierzyńca wybiegli przed wiekami „włóczkowie“ (rybacy) na ratunek miasta, niszczonego przez Tatarów. Wroga pobili i uratowali Kraków, za to też na pamiątkę zwycięstwa swego, każdego roku w oktawę Bożego Ciała jeden włóczek przebiera się za Tatara i na sztucznym koniu w szyszaku i z muzyką wjeżdża do Krakowa. Jest to „Konik zwierzyniecki“, inaczej też zwany „Lajkonikiem“.

Między Józefowem a Kazimierzem po prawym brzegu Wisły leży wieś Piotrawin (tak pisze Długosz), dziś Piotrowinem zwana z murowanym kościołem, wzniesionym ku czci świętego Tomasza i Stanisława. Obok kościoła stoi lipa stara z powichrzoną koroną. Wieś tę kupił niegdyś biskup krakowski św. Stanisław Szczepański od Piotrowina, a gdy po śmierci tegoż, krewni Piotrowina chcieli odebrać wieś tę biskupowi, legenda opowiada, że święty biskup wskrzesił Piotrowina i przyprowadził na świadka przed sąd królewski. Więc lud powiada:

„Widzisz tam ten kościół w Piotrowinie, gdzie święty Stanisław wskrzesił z grobu Piotrowinę? A szło o to, że święty Stanisław prawował się z jednym królem o wieś. Jak się już na piękne pokłócili, tak ten król peda tak świętemu Stanisławowi: Słuchaj jegomość, jeżeli masz słuszność i chcesz, żeby twoja grała, to wsadź tę lipę czubkiem w ziemię a korzonkami w górę; jak się to chyci, no, to ci uwierzę“.

Co nie robi święty Stanisław, wsadził lipę czubkiem do ziemi i drzewo się do razu chyciło. Ale król, jak wszystkie króle, émią biedny naród, jak mogą. Tak i ten świętemu Stanisławowi racji nie przyznał, ale widząc, że nie pęć, co nie robi. Powiada tak świętemu Stanisławowi: „No, mój kochany jegomość, co tam przyjęta lipa, to jeszcze brzydnie a (drobnostka), ale jeżeliś taki sprawiedliwy, to przejdź mi pieszki po Wiśle na drugi brzeg do Solca, a tam cię już dokumentnie osądzę.“ No i co wy na to powiecie, święty Stanisław pięknie, ładnie wodę przeżegnał i przeszedł po wierzchu, jakby nigdy nic, a tylko po Wiśle została ośłada i kto godny, w piękną pogodę może ją widzieć, ale to już musi być szczęśliwa dusza.. No i cóż potem? Święty Stanisław wskrzesił Piotrowinę na świadka, bo innej rady nie było i król ujrzawszy tyle cudów, wpadł w pasję straszliwą i zabił go na miejscu.

Do tego miejsca przywiązana jeszcze druga legenda: Gdy August II stawiał most na Wiśle pod Solcem i jednego dnia przypatrywał się sam

budowie, znajdujący się w orszaku królewskim dwaj biskupi polscy opowiadali Sasom o cudownem wskrzeszeniu i przeprowadzeniu przez Wisłę Piotrowiny przez św. Stanisława. Zdarzyło się, że w tej chwili spotrzeżono żyda, tonącego w Wiśle. Więc jeden ze Sasów, przysłuchujących się opowiadaniu, rzekł: „No, kiedy tak, to niechże teraz tego żyda wyratuje“. Wtedy biskupi uklękli i poczęli się serdecznie modlić. Patrz, aż tu wydobywa się z wody najpierw żydowska jarmułka a następnie żyd wypływa na brzeg zdrowy, a zapytany, powiedział, że właśnie taki, jak oni (wskazując na biskupów) uratował go od śmierci.

Niżej też z prawej strony Wisły, niedaleko Kaźmierza jest wioska Zastów polanowski, rozłożona na rozległej kępie wiślanej. O powstaniu tej wioski opowiadają sobie mieszkańcy: Dawno to, dawno, kto go tam pamięta kiedy, za jakiegoś króla, o którym już i pamiętnika niema i najstarsi zapomnieli, jak się nazywał, żył rybak bardzo ubogi, miał żonę i dzieci dużo, a nie miał zagona ziemi. Już w on czas kępę tę odsypała Wisła, ale nikt jej jeszcze nie dowierzał. Ten rybak przebrnął pierwszy wodę, zbudował sobie na kępie domek, nasadził wierzb, łowił ryby i było mu dobrze. Zobaczywszy to sąsiedzi, zaczęli się także tu gnieździć. Rybak ten nazywał się *Zasytów*, długo też to miejsce nazywało się *Zasytowem*, aż nareszcie nie wiadomo skąd przyszło do tego, że się zowie *Zastowem*.

Po lewej stronie Wisły niedaleko Dęblina leży miasteczko Sieciechów z klasztorem Benedyktynów, o którym krąży w okolicy taka legenda: W dawnych wiekach rycerstwo polskie stoczyło bardzo krwawą bitwę nad brzegami Wisły z pogaństwem. Ze strony naszej zginęło 10000, a z pogaństwa daleko więcej ludzi. Nie pogrzebiono ciał swoich ani nieprzyjacielskich, ale zatopiono je w Wiśle. Gdy one dopłynęły do miejsca, gdzie się rzeka obracała w kierunku łachy sieciechowieckiej, tak się tam zwariły, że bieg wody zatamowały, czem zmuszona wyrzuciła sobie Wisła obecne koryto w prostej linii. Od tego czasu Benedyktyni obchodzili z odpustem uroczystość 10000 rycerzy.

Rybacy i flisacy w okolicach Warszawy nazywają piotrowiną, a właściwie pietrawiną miejsce przy brzegach lub mieliznach, gdzie woda płynie kawałek w górę rzeki, w przeciwnym kierunku jej biegowi. Powstanie tej nazwy tłumaczą przewoźnicy warszawscy, opowiadając: Kiedy święty Piotr stanął pewnego razu nad Wisłą i ujrzał flisaków, zajętych ciężką pracą holowania statków w górę, ulitował się nad nimi i prosił Chrystusa, aby swoją mocą cudowną ulżył im w tej pracy. Chrystus wysłuchał prośby świętego Piotra i rozkazał wodzie płynąć miejscami w przeciwnym kierunku, aby flisacy mogli wypoczywać.

Wisła, zbliżając się do Warszawy, wyrzuciła kiedyś przed dzisiejszym ogrodem księży Bernardynów w Górze Kalwarji statuę świętego Antoniego, którą umieszczono w ołtarzu w kaplicy tego kościoła. Po-

dobna legenda przywiązana jest do statuy Chrystusa, znajdującej się w małym, ubogim, skromnym kościółku potrynitarskim na Solcu w Warszawie. Statua ta miała także przyplynać Wisłą, pod kościołem została wyłowiona a następnie umieszczona w ołtarzu. A cudowną opowieść o krucyfiksie w ołtarzu, znajdującym się w kościele świętego Jana w Warszawie, związaną z Wisłą, słyszymy taką:

Kiedys podczas wojny z Turkami wojownik jeden rodem z Warszawy dostał się w niewolę niewiernych. Zaprowadzony do tureckiej stolicy, został przeznaczony do służby przy koniach sultańskich. Przy studni, u której konie poił, stała niedaleko wbita w ziemię figura męki Chrystusowej. Do niej wiązali Turcy swoje bydłta, bluźniąc jej, plwając i smagając biczami. Na ten widok zamierało serce prawowiernego Mazura ze zgrozy. Raz umyślił sobie położyć przecie koniec swawoli pogańskiej. Jednej nocy ciemnej, gdy go nikt nie uważał, pobiegł do studni, a wykopawszy krzyż z ziemi i ucałowawszy nogi Zbawiciela, wrzucił go w głęboką studnię, mówiąc: „O, mój Jezu, toć lepiej gnść w wodzie wizerunkowi Twemu, aniżeli cierpieć zniewagę i uragowisko bezbożnych nieprzyjaciół Twoich“.

W kilka lat później udało mu się uciec szczęśliwie z niewoli i wrócić do rodzinnego miasta, Warszawy, do dworku, który stał na tem miejscu, gdzie dzisiaj kolumna Zygmunta. Tu dnia jednego, siedząc w oknie domu swego, posłyszał na ulicy zgiełk biegnącego tłumu ludu. Wychyliwszy się, pytał, coby się takiego stało. Odpowiedzieli biegnący: „Cud, cud, na Wiśle pod zamkiem!“ On zatem, wyszedłszy z mieszkania, podążył tam z drugimi. Na brzegu rzeki nieprzeliczona tłuszcza narodu, klęcząc z odkrytymi głowami, modliła się głośno do Boga wobec widocznego cudu; bo oto Wisłą, środkiem najsilniejszego prądu krzyż z wizerunkiem Chrystusa płynął przeciw wodzie w postawie stojącej, jakby na ziemi. Biskup od świętego Jana z duchowieństwem całem w uroczystych szatach z zapalonemi świecami wsiedli do promu, chcąc płynąć na przyjęcie cudownego gościa. Jednak pomimo ciszy zupełnej w powietrzu i usiłowań najlepszych przewoźników żadną miarą nie mogli się zbliżyć do krzyża.

Ów zbiegły jeniec turecki poznał od razu krzyż ten sam, który był wrzucił do studni. Stanąwszy tedy przed biskupem, opowiedział mu rzecz całą. Gdy zaś na rozkaz biskupa, siadłszy w łódź, odbił od brzegu, cudowny krzyż sam podplynał doń i pochylił się w jego ramiona. Tak więc na brzeg wyniesiony, ze czcią niezmierną i radością mieszkańców zaprowadzon do Fary, umieszczony jest w ołtarzu, w którym po dzień słyne z cudów mnogich.

Pod Wyszogrodem przepłynął święty Jacek Wisłę na płaszczu, o czem za Długoszem tak opowiada Piotr Skarga: „Gdy był w Mazowszu w Wyszogrodzie, Wisłę, która mu przechodu z bracią, bardzo wyle-

wając, broniła, gdy się w czym przewieźć nie miał, uskromił i sercem apostołskiem i prorockiem śmiał w imię Chrystusowe wodzie rozkazać, aby go bez utraty i bracią jego na drugi brzeg przeniosła i puścił się sam w wodę, wołając na trzech braci: Florjana, Godyna i Benedykta, aby za nim szli a nie się nie bali. Bo Chrystus prawi, i wodom rozkazuje, a jemu posłuszne i tym, którzy go miłują, być muszą. A oni, gdy się ociągali i za nim nie śmieli, ujawszy z siebie kapicę, Jacek święty rozpostarł ją na wodzie i rzekł: „Oto taki most wam Chrystus czyni, siadajcie i w wierze mocnej na nim stójcie. Wstąpili bracia, a kapica nie pogrzęzła, ale jako w łodzi najbezpieczniejszej na drugą stronę je on dziwny żeglarz przewiózł.“

Inni opowiadają, że się to miało stać w Kromnowie, naprzeciw Czerwińska.

To też po klasztorach Dominikańskich w dniu 17 sierpnia śpiewają o świętym Jacku:

Gdy bystra Wisła bardzo wylewała,
Przewozu ludziom mieć nie dopuszczała;
Jacek ją przeszedł suchemi nogami
Z swemi uczniami.

W dalszym biegu Wisły, przed Płockiem, mijając piękne Tokary, widzimy, wychylający się z wody na środku Wisły ogromny głaz. Ma to być łódka skamieniała a na niej mężczyzna i kobieta, których jadących tu niegdyś Pan Jezus w kamień zamienił, bo zgrzeszyli.

Pod Modlinem wpada do Wisły z prawego jej brzegu Narew, której wody przez jakiś czas nie mieszają się z wodami Wisły, ale płyną prawym brzegiem jakby oddzielone. Później zaś pod Gniewem dzieli się Wisła i prawe jej ramie, Nogat, zdąża do Elbląga. To dało początek podaniu, które Klonowicz opowiada w 1595 roku w swoim „Flisie“:

Dwaj bracia, Bug i Niemen i siostra Narew wybrali się w podróż na zachód i wstąpili w służbę do królowej Wisły (Niemen wpada osobno do Bałtyku przez zatokę Kurońską — więc nie do Wisły). Dumna Narew uważała się za piękniejszą od Wisły, ale obrażona królowa rzek na-szych pozwała ją przed sąd, który rozstrzygnął sprawę na korzyść Wisły. Gniew Narwi był z tego powodu nieprześlągany, więc oddzieliła się od Wisły i osobno podążyła do morza.

Nieszawę położoną między Włocławkiem a Toruniem nazywają fli-sacy Mysz a w a i opowiadają, że to tutaj króla Popieluszk a zjadły myszy.

Zaś u Fordonia (między Toruniem a Chełmnem) gdzie

Z przyrodzenia się przez Wisłę trafiła
Rafa i w ziemi kamienista żyła;
Przez te kamienie zdawna wiślny upór
Przedarł sobie tór.

Więc Klonowicz opowiada — „jako plotą“, że tutaj namiotali djabli skał, chcąc zatamować Wisłę, wskutek czego ma flis strwożony tylko trudne wąskie przejście, to też nazywa je „piekielnymi wrotami“.

Wisła w pieśni ludowej.

Charakterystycznym jest to, że Wisła nie dostarczyła ludowi naszemu wątku do pieśni. We wszystkich zbiorach pieśni ludowych, we wszystkich monografiach etnograficznych, odnoszących się do ludu mieszkającego nad Wisłą, tak u Oskara Kolberga, jak i u innych autorów nie znajdujemy pieśni o Wiśle. Zaledwie jedną piosnkę mogę przytoczyć, która w części przynajmniej odnosi się wprost do Wisły:

Świeci się Warszawa, świeci się i Kraków,
Nie dla was to Niemcy, tylko dla Polaków.
Wiśło moja, Wiśło, rzeko błękitnawa,
Kłania ci się Kraków, kłania i Warszawa.
Bo się w tobie, Wiśło, Wanda utopiła,
By nie pójść za Niemca do wody wskoczyła.

O Wiśle wspomina wieśniak tylko mimochodem w piosenkach swoich, wspomina tylko dlatego, że ta rzeka jest mu najbliższa, nasuwa się mu na myśl, gdy składa wiersze, bo patrzy na nią.

Do takich piosnek należą:

Da, po wodzie, po Wiśle, płynie cyraneczka,
Oj, nie słyhać, nie widać, da, mego kochaneczka.
Oj, nie słyhać, nie widać, da, ale on przyjedzie.
Da, mam w Bogu nadzieję, da, że on moim będzie.

Da, po wodzie, po Wiśle, płynie kaczor siwy,
Da, trzymaj się kochanko mego konia grzywy.
A jakże go utrzymać, kiedy on ucieka?
A zawołaj: cesiu! ceś! — to on cię poczeka.

Szeroka woda na Wiśle,
A moja dziewczyno, wspomnisz mnie.
Jakże ja ciebie wspomnieć mam,
Kiedy ja sierota, a tyś pan.

Oj, cy ja nieszczęśliwy, cy mój konik siwy,
Da, przepłynął przez Wisłę, da, nie umaczał grzywy.

Wszędzie, powszechnie śpiewają też taką piosnkę:
Stamtej strony Wisły kapala się wrona,
Pan starosta myślał, że to jego żona.

Nie myśl, starosto, że to twoja żona,
Bo to czarny ptaszek, nazywa się wrona.

Na Śląsku Cieszyńskim słyszymy jeszcze:

Szeroka jest woda na Wiśle,
Powiedz mi chłopcze swe myśle.
Zobaczyłem złotą rybkę na Wiśle
I zacząłem o tej rybce myśleć.

Hej, przy Wiśle biały kamień,
Siedzi tam dziewczeczka na nim.
Siedzi, siedzi, lamentuje,
Białe rączki załamuje.

To jest już wszystko, co udało się nam wyszukać o Wiśle. Całą twórczość poetycką włożył lud nadwiślański w niezliczone baśni o panie wód, o topielcu, w legendy i podania, które wzdłuż całego biegu przyozdobił Wisłę. Niewiele też pieśni związanych z swem zajęciem śpiewają flisacy i te przytoczymy poniżej.

Wianki.

Na początku lata obchodzi ludność nadwiślańska zwyczaj puszczania wianków. Wieczorem w wigilię św. Jana zbiera się młodzież nad Wisłą. Dziewczęta uwite wianki z kwieciami i ziół, czasem oświecone zatkniętą w nie świeczką łożową lub woskową, puszczają na rzekę i wróżą z przegód wianka na wodzie o losie swoim. Jeżeli wianek utonie, to właścicielkę jego bliska śmierć czeka, jeżeli z prądem wody wartko popłynie w dal i z oczów zginie, to zamążpójście odwlecze się na czas dalszy, bliżej nieoznaczony, jeżeli dwa wianki złączą się razem, to obydwie dziewczęta połączy silna i trwała przyjaźń. Ale najmiłszem i najpożądaniem dla puszczającej wianek jest okoliczność, gdy wianek jej chłopiec pochwyty, bo to oznacza rychły ślub. To też młodzież męska wsiaada wtedy do czółen i ściga po Wiśle puszczane wianki. Każdy rad uchwycić wianek swojej miłej, co, gdy mu się powiedzie, wróży dobry koniec staraniom jego o rękę dziewczyny. Był zwyczaj, iż gdy kto uchwycił wianek daleko uniesiony prądem Wisły a później zatrzymany w biegu przez kłodę, krzak, tamę piaszczystą, to zawieszał go na ścianie najbliższego kościoła.

Ludność miast większych, jak Krakowa, Warszawy, Płocka, zwyczaj ten od lat dziesiątek obchodzi uroczyście. Przy muzyce i ogniach sztucznych, puszczają panny kosztowne wianki na Wisłę a młodzież męska, uganiając się za niemi w postrojonych i oświetlonych łodziach, łapie je i z tryumfem wśród radości na brzeg wynosi.

Flisacy.

Najdawniejszymi żeglarzami na dolnej Wiśle byli Pomorzanie. Żeglowali w górę Wisły podobno aż pod Kraków, gdzie znowu w tych czasach włóczkowie zwierzynieccy trudnili się rybactwem i spławem drzewa i płynęli w dół Wisły.

Ale już w XIII w. Niemcy zajmowali się handlem wzdłuż Wisły i powoli, ale stale wprowadzili i prawo niemieckie i język niemiecki daleko w górę Wisły.

Dopiero po pokoju toruńskim, w drugiej połowie XV i w XVI wieku ujęli w swoje ręce spław drzewa i zboża Polacy, zwłaszcza szlachta, przesyłając swoje ziemiopłody wprost do Gdańska. Wtedy to wyrobiło się u ludu naszego nadwiślańskiego flisactwo, jako osobne rzemiosło, zawód w takich formach, w jakich przetrwało aż do naszych czasów.

Skoro tylko z wiosną spłyną ostatnie lody, rozpoczyna się na Wiśle życie nowe, gwar, ruch „ludu wodnego“, flisaków. Prawie wszystkie wioski położone nad Wisłą żyły dawniej z flisactwa, a mężczyźni co do jednego, oprócz chorych, starych i niedołęgów szli na flis.

Za Władysława IV liczono w Polsce około 5000 ludzi, oddających się flisactwu. Ruch ten zmniejszył się dopiero po rozbiorach Polski z powodu różnych utrudnień państw zaborczych, a w XIX wieku coraz bardziej rozszerzająca się sieć kolejowa, wreszcie coraz większy brak drzewa i zboża na wywóz podcięły do reszty to zarobkowanie, które też obecnie przeżywa ostatnie chwile swego bytowania i w dawnej postaci nie dźwignie się już napewno.

Przygotowania do spławu odbywały się już zimą; cięto drzewo w lasach i zwożono je na brzeg rzeki, budowano galary, zbijano tratwy, aby zaraz z wiosną można je było spuszczać na wodę. Ale właściwa robota flisacka rozpoczynała się dopiero na wodzie.

Statki flisackie.

15 km. wyżej Krakowa, od Czernichowa rozpoczyna się spław galarami. Galar jest to do 18 m długości a 8 m szerokości dochodząca niby wielka łódź drewniana, płaska, z przodu i z tyłu nieco podniesiona nad wodę. Galar taki może udźwignąć 25 ton towaru. Tak wielkie galary należą już do przeszłości, a dzisiaj budują galary trochę mniejsze, które w okolicach Krakowa nazywają galarkami. Na środku galara stoi niska buda, niby malutki domek drewniany, do którego można wejść tylko na kłęczkach, a służy na nocleg, tudzież do przechowywania narzędzi, ubrania załogi i wiktuałów. Bieliznę trzyma flisak w kobiałce a chleb, masło, kaszę, słoninę, wogóle wszystkie wiktuały mieści w tej budzie na półeczkach. Na galarze są umocowane ruchomo długie drągi, na końcu, zanurzającym się w wodę, spłaszczone, niby wielkie wiosła,

które nazywają się drygawki. Przednia część drygawki, która się dzierży w ręce nazywa się głowa, tylna część ciał. Na dużym galarze bywały po 4 drygawki. Są też na galarze drągi grubsze, nie kute, służące do wstrzymywania galareu, a zowią się harpule, zaś flisak, który je ma w opiece i używa, to harpulnik. Deski, służące do nakrywania przewożonej galarem soli lub pszenicy, zowią się ferdeki. Młot drewniany do wbijania pala przy brzegu, przy którym przymocowują zatrzymujące się galary, to ślaga. Jest jeszcze na galarze zwykły, nieobrobiony, duży kamień na długim sznurze, tak zwany pies, który, niby kotwicę, wrzuca się do wody, gdy się galar zatrzymuje.

Drzewo spławiają tratwami, a tym przemysłem zajmowali się od dawna mieszkańcy Ulanowa, w dawnej Galicji, gdzie flisacy mieli cech osobny.

Drzewo, zwiezione w zimie i przygotowane na brzegu rzeki do spławu, spuszczano po pomostach sztuka za sztuką na wodę, gdzie rozpoczynała się zbijanka. Po siedm do dziewięciu belek przybijano gwoździami do dwóch cieńszych belek poprzecznych, ramion, w jeden tafel. Siedm do dziesięciu tafli tworzyło jeden pas. Tafle łączy się ze sobą zapomocą kręconej brzeziny, to jest: śryków, albo cumy, krótkiej liny. Wiążą też niekiedy tafle zapomocą jarzma drewnianego. Dwa pasy tworzą jedną tratwę lub tratwę, a kilka tratw, nieraz sześć i więcej tworzy jedną kolej, z którą załoga flisacka odbywa ryżę do Gdańska. Tratwy kierują się zapomocą olbrzymich wiosł, mniej więcej w połowie swej długości osadzonych na gładkim palu, tak zwanych drygawek, których bywa na każdym pasie cztery, albo sześć, po dwie lub trzy na pierwszym i ostatnim taflu. Do zatrzymywania tratw służą śryki, silne drzewa grabowe, które zręczny oryl puszcza na ukos do wody, a gdy śryk się osadzi, podbija go strzałką. Na wpuszczanie śryków są umyślnie wyrobione i obite dookoła otwory, po kilka na każdym pasie. W razie nadmiernie wezbranej wody, gdy śryki nie mogą dostać gruntu, przymocowuje się tratwy linami do lądu, aby nie uległy uszkodzeniu. Na każdym pasie pomieszczone są budy drewniane na nocleg dla orylów i jedna porządniejsza zazwyczaj na każdej kolei, skarbówka przeznaczona dla szypa i rotmana, stanowiąca rodzaj małego domku, a tak nazwana dlatego, ponieważ tutaj wypłaca się zarobek.

Nieco odmiennie wyglądają tratwy, wpływające na Wisłę z Nidy. Każda z nich mierzy do 120 metrów długości 40 szerokości i składa się zwykle z dębowych progów pod kolej, jedynie tu i ówdzie pomieszczone z belkami sosnowymi, zwanymi podszewką, bez których nie mogłaby się tratwa utrzymać na powierzchni wody, bo dębina ciężka tonie. Prócz tego na każdej tratwie bywa ładunek bądź to z belek ciepanych, bądź z klepek dębowych. Dziury na tratwie między jednym

drzewem a drugim nazywają się gratyną. Każda tratwa składała się z czterech pasów, zwanych gleniami, które były powiązane z brzozy lub dęba skreconemi śrykówkami, zapinającemi się w oczka, a przetykanemi kołkami, które flis nazywa żbilem. Do zatrzymania tratwy używają tu także śryków, umieszczonych w umyślnie na to zrobionych otworach w tratwie, tak zwanych skrzyniach.

Za czasów Klonowicza używano do przewożenia ludzi i towaru przez Wisłę czółna, wyrobionego z olszy, jak koryto, z wiosłem jesionowem, — łodzi dębowej, służącej do przewożenia kilku osób, — pramu (dziś promu) szerokiego popychanego kowanym sprysem do przewożenia wozów i koni, dubasa, skutę, półszkutka i półszkuteczka, komięgi i barki, a także tratwy. A posłuchajmy, jak opisuje skutę:

Więc na ryby kształt wnet skutę urobił (człowiek)
I udychtował i żelazem obił:

Sztaba miasto łba, a rufa sprawiona
Miasto ogona.

A miasto skrzeli dla pewniejszej jazdy
Przy burtach obu rozsadził pojazdy,
Ztądże do czółna, ztądże też urosło
Do łodzi wiosło.

I jako ryba wodę głową porze,
Tak szkuta rzekę sztuką rżnie i orze
I dzieli bruzdy na obydwie stronie,
Jak po zagonie.

.....
A styr po zadu tudzież płynie w pogon
Jako za rybą wodowładny ogon,
Kieruje skutę, a ona nie błdzi,
Gdy ją ster rżdzi.

A jako w rybie ksieniec, tak też bywa
Plugawa zęza w szkucie, gdzie się splywa
Wszystka wilgotność: tam stok wszystkie wody
Mają i smrody.

Tak nauczala roztropna natura
Urobić skutę zmyślnego Mazura,
Od której rozum tem niedoskonalszy
Im będzie dalszy.

Do tego przydał rzemieślnik uczony
Z obłego drzewa tak maszt wyniesiony,
Iż sterczy k'niebu z zawieszistą reją,
Gdy wiatry wieją.

Do reje potem żagiel przyprawiono,
Który w płóciennie wiatr przyjmuje łono,
Dusza i skrzydło, które skutę żenie
Do naszej ziemi.

Potem na brzegu, gdyż już stanie szkuta
Udychtowana i dobrze okuta,
Jeszcze nie zaraz żyto syp na maty,
Kupcze bogaty.

Trzeba szyprowi myśleć o sukience,
Trzeba i w szkucie myśleć o kuchence,
Gdzie z sobą niemasz, nic pożyczać łatwo
Liny i kotwie.

Acz idąc na dół niepotrzebne maszty,
Możesz tak bez nich prowadzić swe łaszy,
Bo gdybyś na dół miał rozwinać żagle.
Zginałbyś nagle.

Ale gdy przyjdzie przeciw wodzie płynąć,
Potrzeba żagle wydęte rozwinać,
Zażywać czasu, póki wiatr po tobie
Dmie w pole obie.

Komiega, był to statek bezmasztowy, podobny do galara, tylko mniej trwale zbudowany, płaski, czworoboczny, zakończony jednakowo z przodu i z tyłu, a służący do przewozu zboża. Komiegę obsługiwało zwykle 9 do 11 ludzi z dziesiętnikiem na czele.

W XIX wieku znikły szkuty, dubasy i komiegi, a na ich miejsce pojawiają się berlinki, odraki, barki, kropy — tylko galary i tratwy przetrwały do ostatnich czasów.

Załoga. Załogę na galarze stanowi dwóch flisaków. Przynik prowadzi galar i jest przełożonym załogi, flisak tylny wykonuje pomocnicze czynności przy drygawce, łapaniu galara na nocleg, wrzucaniu do wody kotwicy, tak zwanego psa; nazywa on się zwyczajnie chłopem, „jedzie na chłopą“, a zwa go też harpulkikiem, bo harpulem wstrzymuje galar. Jeżeli jedzie razem więcej galarów, siedm do ośmiu, to nazywało się „koleją“, a wtedy na małym czółenku przed galarami płynął zwykle retman, zatykając w głębsze miejsce gałęzie wierzbowe, których wiózł zapas i wskazując tym sposobem drogę całej kolei. Przy większej kolei, to jest, gdy galarów było ponad ośm bywali jeszcze retmańcykowie, których w razie potrzeby było dwóch i trzech. Retman tedy, także rotman kieruje całą koleją, aby nie najechała na hak, czyli mieliznę, ani nie uszkadzała mostów i tam, czyli główek, gdyż naraża to galary i tratwy na

uszkodzenie a właścicieli kolei na zwłoki i dotkliwie grzywny. Gdzie woda dobra, to tam wbija w piasek gałąź zieloną, czyli ryje kół w piasek, która to gałąź zowie się „zielony“, gdzie woda płytka, czyli h a k, tam gałąź tę złamie na wierzchu, a wtedy zowie się „z a ł a m a n y“. Retmańczykowie, czyli podmajstrzy, — bo sam rotman jest majstrem — pilnują tylnych galarów lub tratów.

Doświadczony rotman nazywany bywa prokopem.

Przy większej kolei bywa nieraz osobno szyper, który wypłaca ludziom pieniądze; najczęściej jednak te czynności wypełnia także retman.

Ci wszyscy powyżej wymienieni nazywają się właściwymi flisakami.

Do obsługi tratów potrzeba większej załogi; podnajmuje się do roboty chłopów, zwanych też orylami, a ściągają się do tej pracy ludzie z różnych stron kraju. Z pośród tych, którzy znają już dobrze swój orylski zawód, wybiera się także przedników, doświadczonych sterowników, po jednym na każdym pasie tratów.

Dawniej ojciec flisak brał już ze sobą trzynasto — czternastoletniego syna na flis, aby się robocie przypatrzył. Był to fryc, zwany także luzakiem, albo żartobliwie lizakiem, bo się musiał starszym przylizywać, a od niejednego oblizwał też za niezręczność.

Fryc musi myśleć o opale do kuchni flisackiej, musiał tratów spinać śrykówkami, posługiwać przednikom i starszym orylom. Zaś raz w tygodniu odbywał stróżę, a wtedy nie wolno mu było spać noc całą, bo trzeba było ciągle dawać znać innym stróżom, że czuwa i gdy co chwilę odzywają się stróżujący: „hukaj! hukaj!“, to fryc musiał im to samo odhukać.

Bywał też zwyczaj, że każdy flis, który był frycem na Wiśle musiał pod Toruniem pocałować u bramy miejskiej babę, wystruganą z drzewa, był oblany wodą, niby skrapiany wodą święconą i bity przez starszych flisaków, dopóki się nie wykupił poczęstunkiem towarzyszom podróży. Frycowe odbywało się nad Nogatem, to jest, na kresach wodnej drogi, a starzy flisacy przestrzegali pilnie zachowania wszystkich form dawnego zwyczaju. A wtedy dopiero.

Fryczu nieboże, przybliżyć się męka,

Nie jedna na cię gotuje się ręka,

Przypłacisz tego, coś w kuchni jadł bracie

Tu przy Nogacie.

Tak, jak Klonowicz, straszyla całą załogą przez drogę biednego fryca owem frycownem, nie chcąc się przed nim zdradzić, co go czeka w czasie tej frycówki.

Oryle zachowywali zwyczaj frycowania do ostatnich czasów, i w czasie tego obrzędu naśladowano golenie brody frycowi, jakoby

zarosłej w czasie podróży, spowiadanie i okadzanie nowicjusza, do którego najwymowniejszy ze starszych flisów mieszał napół żartobliwą z treści, ale poważnie wypowiedaną „oracyę“, wreszcie udając, że go szablą posieka, każdy z załogi uderzył go cholewą od buta zdjętego z nogi, upominając go, aby pamiętał, która droga po Gdańsk aż do drąga, a która do Elbląga.

Dzisiaj zaginął już i zwyczaj frycowania, bo też najczęściej niema kogo frycować.

Kto po raz pierwszy jedzie na flis za zarobkiem, tego nazywają *hartwólnikiem*.

Żywność. Na drogę zaopatrują się flisacy w żywność z domu, aby jej za drogie często pieniądze nie potrzebowali kupować w podróży.

Trzeba pomyśleć o grochu i kaszy,
Lecz chleb fundament i wieprzowe ciało,
Miej go nie mało.

Dzisiaj żywią się flisowie zwykle lichy; brali ze sobą na drogę kaszę jaglaną, pęczak, ziemniaki, chleb, bryłkę masła, serek, słoninę, czasem kawał kielbasy i woreczek mąki.

Często kucharzem jest fryc, to też łatwo wyobrazić sobie, jak smaczne potrawy przyrządza taki chłopak kilkunastoletni, który nigdy nie był przy kuchni. Ależ też i wykaz potraw nieliczny, podniebienia niewybredne, a praca na wolnem powietrzu zaostreza apetyty.

Rano na śniadanie, czarna kawa sporządzana z cykorji z jakiejś żydowskiej fabryki i z proszku brunatnego niby mielonej kawy. Do tej kawy daje się utopioną słoninę ze skwarkami, gdyż niema mleka na galarze. A więc czarna kawa ze słoniną topioną i chleb.

Zamiast kawy jedzą też fiutkę, to jest polewkę z ziemniaków, pokrajanych w drobne kostki, ugotowanych na wodzie, posolonych i omaszczonych. W Krakowskiem potrawa taka zowie się *sekuładką*, a przyrządza się w ten sposób, że do rzadko rozgotowanych ziemniaków dosypuje się kaszy, soli, dodaje trochę cebuli, pietruszki i pieprzu, a nierzadko kładzie kawałek słoniny, wędzonki lub kielbasy i zajada z chlebem.

Bywa też używany na obiad barszcz na occie do ziemniaków, — niekiedy nawet kluseczki na wodzie, jeśli je umie ugotować chłopiec, to znów ziemniaki duszone, kasza jaglana lub pęczak.

Gotuje się także *fuckę* w ten sposób, że gdy kasza zasypana rzadką na wodzie zawre, dosypuje się do tego mąki i pilnie miesza, aby się potrawa nie skluszczyła. Po wylaniu na miskę maści się *fuckę* topioną słoniną.

Czasem pojawia się też ryż na wodzie.

Rzadko gości tu mleko, a jeszcze rzadziej mięso.

W jesieni, gdy śliwki zaczynają dojrzewać, gotują je w wodzie, a taka polewka gęsta z rozgotowanych śliwek nazywa się garus albo pituch i znana jest jako pyszna przyprawa do ziemniaków.

Praca na Wiśle. Od chwili, gdy przednik zawoła: „wybijaj!“, to jest wyciągaj sryki, aby tratwa spłynęła z wodą, rozpoczyna się właściwa praca flisacka na Wiśle. Bywa ona niekiedy ciężka, niekiedy żadna. Gdy Wisła, począwszy od Opatowca, kręci się i wiję, trzeba się dobrze krzątać, aby nie wryć na ląda, czyli nie wjechać na świnie. Aby tego uniknąć, muszą oryle pracować dobrze drygawkami, a często przerzucać się forsownie od brzegu do brzegu, co się zowie obalaniem tratwy. Czynność ta daje się we znaki najbardziej tym, co są na calu (w tyle) tratwy, nie też dziwnego, że każdy stara się dostać na głowę, a cala unika. Gdy trawę wjedzie na hak (na piasek), czyli jak flis powiada, że powali, trzeba rozebrać się, brać drażki, zwane sprysami i trafte spychać. Tę robotę zowią flisacy weselem, bo właściciel tratwy, pragnąc, aby robota nie trwała długo, musi flisów częstować wódką, którą też zowią weselną. Ale szyper nie lubi takiego wesela, co najlepiej wyraża piosenka:

Flisaki, pijaki,
Płyniecie na haki,
Godzinę pływacie,
Tydzień wyciągacie.

To znów trzeba drzewo obmyć z mułu, innym razem przewrócić łódugę, to jest dnem leżące na wierzchu tratwy, do góry numerem, czyli ryspackiem. Trzeba trzymać stróże nocne.

Ale też znowu, gdy mamka (mgła) zakryje Wisłę i leży na niej długo, zatrzymując tratwy przy brzegu, albo gdy stryjaszek (wiatr) przeszkadza żegludze, wtedy flis wyleguje się, próżniaczy i nic nie robi. O takich to wypadkach mówi przysłowie:

Niema, jak na flisie;
Naje się, wyśpi się,
A nie narobi się.

Wtedy kto ma książkę modlącą, to czyta; jedni wtedy grają w karty, inni śpią, a inni słuchają ciekawych „historyj“ i tak im czas upływa.

Ażeby sprowadzić wiatr pożądanym, puszczały flisacy na cichą wodę zapaloną płachtę zamaczaną w smole, przyczem grając na fujarkach i skrzypcach, wzywali Pochwista, aby dmuchnął w żagle, albo też poruszył żywiej fale Wisły. Doświadczeni, starzy flisacy znali dawniej pewne formuły, które zachowywali w wielkiej tajemnicy, do zaklęcia wichru, aby powiał.

Życie biegnie flisakowi na Wiśle szybko i wesoło, pomimo cięższej pracy kiedy niekiedy, pomimo to, że często trzeba się umęczyć, zziębnać, niedojeść, niedospać — ale zato cały dzień boży czuje się wolny, jak ptak, swobodny od nikogo niezależny; co dnia, co godzinę prawie ma nowe widoki, poznaje coraz inne wsi i miasta, styka się coraz to z innymi ludźmi. Więc też zwykle skoro odbył jedną ryżę i wrócił do domu, niedługo tutaj zagrzeje i wnet wybiera się znowu w drogę na kochaną Wiselkę.

Życie na Wiśle. Gdy jest praca ciężka, flisak klnie, „tysiącami licząc czarty“, ale gdy to minie, jest wesół, rad zostaje, opowiada przygody swoje, albo też baję o dziwach wiślanych o nadbrzeżnych miastach i kościołach.

Najwięcej żartów musi znieść fryc. Kpią sobie wszyscy z jego niezdarności i nieświadomości.

Gdy mijają Dęblin, tam gdzie Wieprz wpada do Wisły, woła zwykle przednik na fryca:

— Ty, frycu, weźno sprysę (żerdź) i zmieszaj wodę na jałowym rogu.

Gdy chłopiec chwyci żerdź okutą i zanurzy ją w nurtach wody, wtedy cała załoga wrzeszczy, udając kwik świni a potem wśród śmiechu krzyczy:

— Przebił wieprza, przebił wieprza!

To znowu śmieli się z Moskali przeglądających paszporty, opowiadając, że pewien oryl, gdy szedł na flis, wziął z domu przez pomyłkę paszport, który przywiózł od wójta dla krowy i z tym paszportem objechał spokojnie ryżę, bo Moskałe słabo czytali.

Gdy się który skarży na robactwo, trzymające się flisaków, pociesza go drugi opowiadaniem „że wesz orylska, gdy sobie tak południaczkiem wyjdzie na tratwę dla spaceru, to się niebardzo wrony boi i wrona musi się dość nazwijać, zanim ją zatarmosi“.

A o takim orylu, co cały swój zarobek przepije, żartując, mówią:

Oryl szedł z miną zamaszystą i prowadził sobie psa. Zapytany, gdzie idzie, odrzekł buńczucznie:

— Na flis.

— A to na co tego psa prowadzisz?

— Żeby mi przy budzie czekał.

Ale z powrotem lezie flis okrakiem do domu, niby żółw, ale już bez psa. Pytany:

— Skąd Bóg prowadzi?

— Z flisa — ledwie wycedził.

— A gdzieżeś to bratku tego psa podział?

— Zjadłem — wyszeptał cicho biedny flisak.

A flisacy lubią się zabawić i napić i nie pominą żadnej sposobności do tego. Już Klonowicz wspomina o pięciu karczmach między Ka-

zimierzem a Gdańskiem, do których flisacy radzi wstępowali. Były to Karczma czerwona, Biała karczma, Krakowiec, Rzym i Gęsia karczma. Popijają się też nieraz i czasem niemiłosiernie poczubią, a nieraz wytańczą, „jak cztery dziewczki“. A wtedy podziwiać należy tę szczerą wesołość przy największej biedzie. Rzadko się zdarza, aby na ryzie nie było między orylami muzykantów. Przy ich muzyce oryle obdarci i bosi, ot, dziady wierutne, wybijali hołubce, przytupując w takt piętami i przyśpiewując:

Kapelusik pod piórami,
Wyglądają wszy dziurami — hoc! hoc!

Pieśni flisackie. Przeważnie tańczono krakowiaka mijanego, gonionego, flisaka (włóczka), to znowu oberka, lub mazurka. A wśród tańca rozlegały się wesołe krakowiaki i inne śpiewki zwykłe, przyniesione z domu, a między nimi także z życia flisaka:

Płyną flisi, płyną, nie mają retmana, —
Najświętsza Panienko, prowadźże ich sama.

Najciężej im minąć Baranowskie koło,
To pod Sandomierzem zatańczą wesoło.
Najciężej im minąć Baranowskie łady,
Będą pić, tańcować po kolei wszędy.

Flisaczkowie z Woli, dajcie nam też soli,
Bóg was zaprowadzi, gdzie będziecie chcieli.

Przycinają też czasem rotmanowi, którego panowanie skończy się, gdy dopłyną do Gdańska. Więc też śpiewają:

— Czegoż się retmanie po tej wodzie wleciesz?
Czemuż do przednika słówka nie przerzecziesz?

— Przerzeknę, przerzeknę, ale tylko czasem,
Ja ci zawaruję pod zielonym lasem.

Tam ci zawaruję i kół ci zaszyję,
Jak mi tam nie staniesz, wtedy cię zabiję.

— Z trawką dopłynę i u drąga stanę,
Wtedy, mój retmanie, cóż się z tobą stanie?

Najchętniej jednak śpiewają piosenki o swoich ukochanych, wspominają pozostawione dziewczęta i żony w domu, albo też przyśpiewują do dziewcząt świeżo poznanych.

Spodobała mi się
Dziewczyna na flisie;
Siwe oczka miała,
Na mnie spoglądała.



Tyś, Jasiu, flisował, ja Boga prosiła,
Żeby cię wodeczka w górę wynosiła.

Idą flisi, idą, mojego nie widać,
Uszyłam koszulkę nie mam jej komu dać.
Uszyłam koszulkę, czarnemi niciami,
Żebym go poznała, jak pójdzie z flisami.
albo:

Dalabym Magierze ¹⁾, ale mu nie wierzę,
Swemu Jasieńkowi, sama ją zawiezę.

To znowu przychodzi mu na pamięć śpiewka dziewczyny jego:

— Oj, żeby ja była, jak ta szara gaska,
Poszłabym ja, poszła za Jasiem do Gdańska,
I usiadłabym ja w wodzie na Motławie,
Przypatrzyłabym się swego Jasia sprawie.

Siedzi Jasio, siedzi w nowej kamienicy,
Na bukowym stole talarami liczy.

Rozsypał talarki po bukowym stole:

— A będzie to, będzie, dziewczyno, za twoje?

— Nie będzie, nie będzie, mogłabym i przysiądz,
Choćby sto talarków, choćby nawet tysiąc.

Śpiewają też jeszcze piosenkę, którą przed dwustu laty zapisał już Daniel Koman, superintendent ewangelicki z Węgier, odbywający podróż w 1708 — 9 roku z polecenia i w interesie synodu protestanckiego do Karola XII; jest to więc najstarsza zapisana piosenka flisacka.

Flisakowa żona
Siedzi sobie doma
A flisaczek, nieboraczek
Robi na chleb, jak robaczek,
Płyńcie do Torunia.

Flisaczkowie z nieba
Dajcież nam też chleba,
Dawnoście tu nie bywali,
Chlebaście nam nie dawali,
Teraz też bywajcie,
Chleba nam dawajcie.

¹⁾ Magierami nazywają chłopów od Tarnobrzega, noszących czapki magierki z brązowego sukna z czerwonymi kutasami.

Chwali się też flis swoim zarobkiem i śpiewa:

Dziwują się ludzie za co oryl pije?

Za tę drygaweczkę, co ją w wodzie myje.

I po takiej zabawie płynie się dalej i pracuje przy drygawce, kiedy potrzeba, zbliża się do Płocka o którym mówi:

Płocko

Na górze wysocko,

Ale dybać do niego dalecko.

A od Torunia to sobie drogę znaczą w ten sposób:

Toruń — Fordoń

Chełmo (Chełmno) — Świecie,

Grudziądz trzecie,

Nowe — Gniew,

A szóste Tczew.

Za Toruniem stróża na tratwach musiała być czujniejsza, gdyż po Wiśle wałęsało się dużo korsarzy wiślanych, zwanych przez oryli buksami. Więc całą noc słyhać głosy na tratwach lub galarach:

— A hukej!! hukej! bo buksa jedzie!

Ale też i flis nie zawsze szanuje cudzą własność. Już mu to przed wiekami Klonowicz wypominał:

Gdy zajrzy gąsek flis, jego to żniwo,

Wnet się wkradnie rzekomo po łuczywo.

Lecz widzi-mi się, flisie, zakurzy się

Ta karkosz w misie.

Po to łuczywo, gdy zajdzie do boru,

Naspiżuje go niemało do woru,

A wróciwszy się, jedno w garncu warzy,

A drugie skwarzy.

Religijność. Pomimo tych wad pobożni są flisowie a szczególniejszą czcią otaczają św. Barbarę — Warwarkę — jako swoją patronkę. Pod jej wezwaniem istniał dawniej osobny cech flisaków w Ulanowie. Wyjeżdżając na flis, oddawali się w opiekę tej świętej flisacy, śpiewali na jej cześć pieśni nabożne, przed jej ołtarzami zamawiano msze święte i palono świece.

Gdy budowano skutny dawniej, zawsze na przedzie statku było wyobrażenie św. Barbary, a żaden flisak czy oryl nie puszczał się na ryże bez jej wyobrażenia.

Łukasz Gołębiowski opowiada, że w kościele Panny Marji na Nowem Mieście w Warszawie w dzień św. Barbary. 4 grudnia bywa nabożeństwo rybaków, a w dawnym kalendarzyku saskim jest napisano, że kiedy August II w Polsce panował, rybacy na św. Barbarę w kościele pomienionym z całemi rodzinami i czeladzią zwykli na rannem i wie-

czornem znajdować się nabożeństwie, po którym rozdają ubogim ryby, jako jałmużnę. Nie wiadomo, kiedy ten zwyczaj ustał.

Że cześć flisaków do świętej Barbary jest u nas bardzo dawną, stwierdza to Klonowicz, powiadając:

Tam Sarkawice ¹⁾, gdzie więc on wiek stary,
Ofiarował się do świętej Barbary,
Tam wstępowali nasi pradziadowie,
Dawni szyprowie,
Tam mądry retman, siedząc na swej barce,
Złożył onę pieśń o świętej Barbarce;
Tej pieśni, jadąc imo Sarkawice,
Nauczał fryce

Pod Złotoryją wybierają retmani od orylów „lemużnę“ (jałmużnę) na świętą „Warwarę“ w Ulanowie.

Codziennie odprawiają modlitwy poranne i wieczornę, a gdy po wieczornem oddzwonieniu na „Anioł Pański“ w niektórych nadbrzeżnych kościołach uderzą dziewięć razy w jedną stronę dzwonu, wtedy flisacy i oryle odmawiają jeszcze pacierze za dusze utopionych w Wiśle.

Język — Przysłowia. Zauważyliśmy już wyżej, że flisacy używają w mowie swojej szeregu wyrazów sobie właściwych, na oznaczenie części składowych swych statków, narzędzi na nich, członków załogi pewnych czynności i t. d. Znał je dobrze Klonowicz i wiele z nich używano nawet do ostatnich czasów. Jeszcze dotychczas piana nazywa się mąka, młyn wodny na Wiśle — bździel, mgła to mamka, a wiatr stryjaszek, piasek to hak, a wrona — ciotka i t. d.

Mają także flisacy swoje przysłowia:

Flisak wychodzi po lodzie i wraca po lodzie.
Droga nikogo nie piastuje.
Długa ryza, krótka sukmana.

To jest, że flisak zarobi mało, gdy długo płynie z jednym spławem, bo pobiera tylko strawne, a długo musi czekać na myto.

Deszczyk i cicho,
Na oryla lichy;
Wiatr i pogoda,
Na oryla wygoda.

Gdy cicho w powietrzu, a deszcz pada, oryl musi płynąć i moknąć; gdy wiatr towarzyszy pogodzie, tratwy nie mogą płynąć, więc oryl wyleguje się w budzie.

Czy z Prokopem, czy bez Prokopa — jedno.
Ostatnia ryza płaci.
Do świętego Jana ucieka woda od ogona,
A po świętym Janie, idzie woda po ogonie.

¹⁾ Sartowce Górne, pow. Świecie.

Bo o g o n e m nazywają flisacy koniec nasypu piaszczystego, h a k a, wśród rzeki, który podczas przyboru wody, zwykle około św. Jana (w czerwcu), kryje się pod wodą.

P o w r ó t. Wreszcie po kilkodniowej podróży dobiły do Gdańska tratwy, galary i skutury. Flisacy z żalem rozstają się z wodą, garneczki, w których gotowali sobie pożywienie, rozbijają i topią w Wiśle, wiążą łomoczki i idą do Gdańska po wypłatę nędznego zarobku.

Właściciel transportu, kupiec, czy szyper żegna się z załogą, częstując ją wódką. Zabawa ostatnia zamienia się w pijatykę i hulatykę wśród muzyki i śpiewu. Retman i przednicy spuścili z tonu, groźne ich twarze wypogodziły się całkiem, znikła różnica tytułów i władzy a w końcu podróży wszyscy są sobie równi, wszyscy polscy biedni ludzie niby w swym kraju a tak, jak w obcym.

Przeorawszy Wisłę, wychodzi oryl „na lada“, ale taki nieswój, bo odwykł od ziemi, pływając kilka tygodni, z żalem rzuca tratwę, czy galę, a tylko nadzieja ujrzenia rodzinnej wioski, krewnych i domowników pociesza go nieco.

Do oryli przychodzą s z m a c i a r z e po stare ubrania, bo niejedni za grosz zarobiony kupi sobie nowe. Odwiedzają też pilnie sklepy i zakupują gościńce i pamiątki dla swoich. Już Klonowicz wspomina, że flisacy zakupywali w Gdańsku dla swoich żon i córek pasy puklaste półaksamitne z zanklem, ceglasy muchajer na odświeżny kształt (gorset), a nawet niekiedy tabin i jadamaszek. Później przywozili korale i bursztyny na szyję, drogie materje na suknie, futra, dla mężczyzn pasy skórzane, skrzypki, wódkę gdańską, pierniki toruńskie i herbatę, a do kościoła kadzidło. Wreszcie trzeba było wyruszyć w powrotną drogę, chociaż niekiedy znajdował się osobnik, który do domu nie wracał, nie miał do czego, ale przez zimę błakał się tu i ówdzie i szukał zarobku w fabrykach. Byli to zwykle pijacy, robotnicy zdemoralizowani. Nazywano ich z i m ó w k a m i. Często retmani nie chcieli przyjmować do pracy zimówek.

Ci, którzy spławili tratwy i galary, wracali dawniej pieszo z Gdańska do domu, często ze skrzypkiem, zawsze z pieśnią na ustach. W drugiej połowie XIX wieku jechali już koleją z Gdańska do Łowicza w wagonach czwartej klasy, jak mówili „jadą dziadokiem“, stąd do Skierniewic, potem szli piechotą do Rawy, stąd przez Inowłódz do Opoczna, do Końskiego. Tu często najmowali furmanki i jechali przez Kazanów, Mniów do Kielc i Chmielnik do Buska; z Buska znów pieszo każdy w swoją stronę.

Flisacy, którzy przyjechali skutą, musieli ją napowrót odstawić do domu. Przy pomyślnym wietrze, który dał w żagiel i pchał skutę w górę rzeki, jazda była wyborna, a załoga ani wiedziała, kiedy znalazła się w domu, temwięcej, że przez całą drogę wysypiali się, lub zaba-

wiali, grając w karty, dawniej też w kości, wreszcie oczyszczając się i oporządzając odzienie. Gorzej było, gdy wiatr zadał w dół rzeki, wtedy trzeba było pracować ciężko, wyjść na brzeg i linami ciągnąć szkutę w górę rzeki, a gdy przytem szkuta osiadła na haku, trzeba było brodzić w wodzie i spychać ją śprysami na głębiej. Później skończyła się i ta bieda, bo gdy nastały parowce, wykonywały najcięższe prace za flisaka i wiozły w górę galary i szkuty.

Zarobek. Zarobki flisaków były wogóle małe. Przewozili najczęściej zboże, owoce, drzewo, sól, węgiel kamienny, koks, kamień wapienny, wapno niegaszone, cegły, dachówki, korę drzewną. Jeżeli flisak sprawował się w drodze porządnie, to jest nie przepił zarobku lub nie przegrał w karty, to przynosił do domu średnio 50 do 100 rubli — 50 do 100 złotych reńskich austriackich. Kto przyniósł więcej, to mówiono o nim, że musiał kogoś ograć albo okraść. Ten tylko mógł więcej zarobić, kto był w stanie za własne pieniądze towar kupić i swój własny towar spławić. Ale takich było bardzo mało. Od kilkudziesięciu lat przewóz towarów Wisłą wzięli żydzi w swoje ręce i oni też ciągnęli z tego wszystkie zyski.

Wpływ flisactwa na lud. Flisacy i oryle nasi płynęli nie tylko Wisłą. Pływali oni po Sanie i po Bugu, po Wieprzu i po Narwi. Znali więc nie tylko wszystkie większe i mniejsze miasta i miasteczka nad Wisłą, ale nie obcy im był Lublin i Brześć, Grudziądz i Bydgoszcz, Poznań i Częstochowa — wędrowali na zarobki nawet do Kijowa. Znali dobrze miasta, rzeki i ludność prawie całej Polski. Ale ta znajomość „świata“ czyniła ich zuchwałymi i zarozumiałymi, to ciągłe stykanie się z tyloma ludźmi obcymi w różnych potrzebach i położeniach, wyrabiała w nich chytryść, przebiegłość, skrytość. — wreszcie to przebywanie miesiącami całymi poza domem, poza ogniskiem rodzinnem, w karczmach przydrożnych, gdzie obijały im się o uszy tylko przekleństwa i bezwstydne słowa, ta ciągła poniewierka w drodze i rozpusta, gdzie nieraz miesiącami nie był flisak na nabożeństwie w kościele, nie słyszał kazania, oddziaływały bardzo zgubnie na flisaków. Kto przez parę lat wychodził na flis, to się często przeistaczał w łobuza i pijaka, choćby w domu był porządnie wychowany, — najczęściej nie przyniósł też grosza do domu, tylko moc robactwa i wiele zepsucia.

Upadek flisactwa. Dzisiaj flisactwo należy już do przeszłości. Zarobki były coraz nędzniejsze, więc młodzież nie garnęła się do spławu, coraz gęstsza sieć kolei żelaznych zaczęła szybciej i pewniej rozwozić towar, wreszcie wycięto lasy w pobliżu Wisły i najlepszy materiał już wywieziono, niema też tak wiele zboża na wywóz, jak dawniej. Wreszcie Wisła zaroila się statkami parowymi, a te wnosząc nowy sposób żeglowania, dobiły do reszty dawne flisactwo ludowe. Gdy zostanie przeprowadzona rozpoczęta już regulacja i pogłębienie górnej Wisły

i statki parowe będą mogły dojeżdżać daleko w górę poza Kraków, rozpocznie się na Wiśle nowe życie, nowy okres flisactwa, ale nie mający już żadnego związku z dawniejszą pracą „ludu wodnego“.

LITERATURA.

- Bojko Jakób: Pod trzeciego króla. — Lwów 1908.
- Ks. Gacki Józef: Benedyktyński klasztor w Sieciechowie. — Radom 1872.
- Dr. Gawętek Franciszek: Konik zwierzyniecki. Ze studjów nad zabawami ludowymi. — Kraków 1918.
- Gloger Zygmunt: Frycowe w Korytnicy. — „Wisła“ t. IX. str. 765 — 768 Warszawa 1895.
- Dr. Janik Michał: Flisacy — „Lud“ t. X, str. 4 — 10. Kraków 1904.
- „ „ „ Z przysłów flisackich — „Lud“ t. XIII, str. 258 — 259. — Lwów 1907.
- Kipa Emil: Nieznana piosenka flisacka z XVIII wieku — „Lud“, t. XI, str. 307. —
- Klonowicz Sebastjan: Flis 1595 — Według wydania Turowskiego z r. 1858
- Kolberg Oskar: Lud — Sandomierskie — Warszawa 1865.
- „ „ „ Kujawy — Warszawa 1867.
- „ „ „ Krakowskie — Kraków 1871 — 1875.
- „ „ „ Kieleckie — Kraków 1885 — 1886.
- „ „ „ Radomskie — Kraków 1887.
- „ „ „ Mazowsze — Kraków 1885 — 1888.
- Kozłowski Kornel: Lud, pieśni, podania, zwyczaje i przesady ludu z Mazowsza Czerskiego — Warszawa 1869.
- Maciejowski Wacław Aleksander: Polska aż do pierwszej połowy XVII wieku pod względem obyczajów i zwyczajów. Petersburg — Warszawa 1842.
- Ks. Mioduszeński: Śpiewnik kościelny. — Kraków 1838.
- Pol Wincenty: Na Groblach. — Serja II „Obrazów z życia i natury“ — Kraków 1870.
- Ks. Skarga Piotr: Żywotów Świętych wtóra część. — Kraków, wydanie z r. 1619.
- Słomka Jan: Pamiętniki włościanina. — Kraków 1912.
- Słownik geograficzny. Warszawa 1880 — 1900.
- Ślaski Bolesław: Z legend, przysłów i piosnek flisackich. „Lud“, t. XVI. str. 179 — 181. Lwów 1910.
- Ślaski Bolesław: Z wierzeń i gwary ludu wodnego — „Lud“, t. XVII, str. 74—76, Lwów 1911.
- Ślaski Bolesław: Z gwary i obyczajów ludu wodnego. — „Lud“, t. XVIII, str. 132 — 136. — Lwów 1912.
- Ślaski Bolesław: Spław i Spławnicy na Wiśle. Warszawa 1916.
- Świdorski Zdzisław: Wieś Wisła. — Kraków 1889.
- Szląsk (austriacki) słowem i ołówkiem na podstawie najnowszych źródeł przedstawiony. Warszawa 1888.
- Trojanowski Wincenty: Zabytki artystyczne Warszawy. Warszawa 1916.
- Udziela Seweryn: Tyniec pod względem topograficzno-etnograficznym. Wieliczka 1897.
- Udziela Seweryn: Świat nadmysłowy ludu krakowskiego, mieszkającego po prawym brzegu Wisły. — „Wisła“ t. XII, str. 131. Warszawa 1899.
- Udziela Seweryn: Topograficzno-etnograficzny opis wsi polskich w Galicji. Kraków 1901.



- Udziela Seweryn: „Słowo Polskie”. Lwów 1904 — „Lud” t. X, str. 453 — 458
 Kraków 1904.
 Wójcicki Kazimierz Władysław: Powrót flisów — „Kłosy” Warszawa
 1871, nr. 332.
 Zamarski Roman: Podania i baśni z Mazowsza. Wrocław 1852.
 „Zaranie śląskie” Cieszyn 1910, t. III.
 Rothstein Th. Illustrierter Führer durch Danzig und Umgebung. Danzig 1906.

TREŚĆ:

Wstęp	1
Wisła:	
Bogi wiślane	2
Podania i legendy	5
Wisła w pieśni ludowej	11
Wianki	12
II. Flisacy:	
Statki flisackie	13
Załoga	16
Żywność	18
Praca na Wiśle	19
Życie na Wiśle	20
Pieśni flisackie	21
Religijność	23
Język — Przysłowia	24
Powrót	25
Zarobek	26
Wpływ flisactwa na lud	26
Upadek flisactwa	26
Literatura	26

